Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

Cena 25 gr.

PŁOMIEŃCZYK

CZASOPISMO

„Mamy zbudować nową Polskę i nowego w Polsce człowieka". *ADAM SKWARCZYŃSKI*

ROK I WARSZAWA, WRZESIEŃ — PAŹDZIERNIK 1937 NR 5 — 6

POCAŁUNEK ALMANZORA

RACHUNEK SUMIENIA I THERMIDOR MAJOWY.

Nad życiem politycznym Polski dominuje nadal zagadnienie form konsolidacji wewnętrznej. Nie ma dzisiaj czynnego polityka który by nie uważał, że życie polskie po wyjściu z chaosu i prowizorium, będzie musiało wypłynąć na szerokie wody skoordynowanej akcji w wielkim stylu. Od oblicza ideowego danego polityka zależy, czy koordynację tę będzie on upatrywał w montowaniu Frontu Ludowego (z komuną, czy bez), czy też w zjednoczeniu narodowym pod egidą OZN czy Stronnictwa Narodowego. Istnieją też ugrupowania, odnoszące się sceptycznie do dotychczasowych prób konsolidacji i upatrujące swoje zadanie w psychicznym przygotowaniu przyszłego Przełomu Narodowego. Przełom ten ma dopiero wstrząsnąć sumieniami Polaków i dać początek naprawdę wszechogarniającemu prądowi ideowemu.

Ze wszystkich istniejących kierunków politycznych, najbardziej ciekawą i pouczającą jest akcja Obozu Zjednoczenia Narodowego. O ile bowiem działalność wszystkich innych stronnictw jest zjawiskiem normalnym i powszechnie spotykanym, o tyle akcja OZN jest czymś wyjątkowym i nie mającym dotąd precedensów.

Obóz Zjednoczenia Narodowego jest dzieckiem Thermidoru Majowego. Rewolucja Majowa 1926 r., po osiągnięciu szczytowego punktu swojego rozwoju, weszła w stadium zwrotu ku normalizacji stosunków. Przez fazę tego rodzaju przechodziły liczne przewroty, jakie zanotowała historia, dostarczając socjologom zadziwiających przykładów do snucia analogij i do wyprowadzania „praw historycznych".

W danym jednak przypadku, fakt ten nie tłumaczy jeszcze wszystkiego. Dzisiejszy kurs polityczny to jest coś więcej, aniżeli Thermidor. Jest to bowiem w pierwszym rzędzie próba o d r o b i e n i a b ł ę d ó w i grzechów niedawnej przeszłości. Jest to próba zawrócenia z dotychczasowej drogi, dalsze posuwanie się po której groziło nioobliczalnymi wstrząsami. Jest to próba spojrzenia na rzeczywistość trzeźwymi oczyma, niezmąconymi kataraktą mirażów i złudzeń, fantastycznych koncepcyj i przyjemnych samoomamień...

POLITYKA NA INDEKSIE.

W okresie poprzedzającym powstanie OZN, życie polskie upływało pod znakiem pewnej swoistej koncepcji politycznej. Koncepcją tą, a zarazem celem naczelnym było t. zw. **„odpolitycznienie społeczeństwa"**. Miało ono polegać na skierowaniu zainteresowań ogółu ku zagadnieniom lokalnym, kulturalnym i innym, z wyeliminowaniem tego wszystkiego, co by mogło zahaczać o t. zw. „wielką politykę". W przeroście zainteresowań politycznych upatrywano bowiem główne źródło dotychczasowych nieszczęść i trudności, na które natykano się w procesie rządzenia.

Koncepcja ta nie była pozbawiona rozmachu oraz cech swoistej wielkości. Według teoretyków i twórców tego kierunku, pomiędzy obywatelem a Konstytucją i stworzonymi przez nią organami miały zniknąć wszelkie instancje pośrednie. Miały zniknąć zarówno stronnictwa polityczne, jak i cały dotychczasowy podział społeczeństwa, wszystkie dawne kategorie myślenia i metody pracy publicznej. Przeszłość miała być przekreślona raz na zawsze. Psychika polska miała się przebudować do gruntu; korzenie „partyjnictwa" i warcholstwa miały być podcięte raz na zawsze. Społeczeństwo, pozbawione zgubnych politycznych zapędów, miało pracować spokojnie w szczęściu i dobrobycie. Taką była panująca koncepcja w swojej najbardziej czystej, klasycznej postaci...

NAPĘD BEZ PRZEKŁADNI.

Gdy się rozważa z pewnej perspektywy objektywnie i *sine ira* szanse realizacji tej doktryny, uderzyć musi przede wszystkim szczegół dość istotny. Nie zostało bowiem wyjaśnione przez twórców doktryny, przy pomocy jakich środków miała być zrealizowana cała ta imponująca koncepcja? Co miało być narzędziem oddziaływania na społeczeństwo w pożądanym kierunku? Czy ta radykalna zmiana miała się dokonać sama, automatycznie, w wyniku samego tylko odsunięcia społeczeństwa od życia politycznego? Było by to jednak niezrozumiałą naiwnością, gdyż samo na świecie nic się nie dzieje, a naga norma negatywna nie posiada czarodziejskiej mocy.

Z drugiej zaś strony — oddziaływanie za pomocą własnego stronnictwa było wykluczone w samym założeniu. Pozostawał więc do dyspozycji albo aparat państwowy, albo też własny przykład. Lecz aparat państwowy — to — biorąc praktycznie — referent w starostwie, względnie posterunkowy, — czynniki mało się nadające do roli wychowawczej. Własny zaś przykład nie mógł być brany w rachubę, ponieważ zakazane drzewo polityki, tępione i wycinane w nizinach społecznych, tym bujniejszym owocem obrodziło w górnych regionach...

Uchwycenie więc zasadniczego, „technicznego" błędu całej tej koncepcji nie wydaje się rzeczą trudną. Mówiąc obrazowo — pomiędzy społeczeństwem a grupą, która stworzyła daną teorię, z a b r a k ł o p r z e k ł a d n i lub pasa transmisyjnego, który by je zespolił w jedną całość dynamiczną. Napędowe koło teorii kręciło się z wielkim rozmachem, lecz — luzem, olbrzymi zaś mechanizm społeczny trwał w bezruchu, względnie kręcił się w całkiem innym kierunku...

Dopóki jednak koncepcja ta pozostawała w sferze teorii, posiadała ona stosunkowo znaczną liczbę zwolenników. Alarmy i głosy ostrzeżenia podniosły się dopiero wówczas, gdy zaczęły się ujawniać praktyczne wyniki jej realizacji. Okazało się bowiem, że wyrok śmierci został wydany nie tylko na „partje", lecz i na wszelkie inne ośrodki myśli obywatelskiej. Zorganizowana myśl polityczna została uznana za „wroga Nr. 1", przeciwko któremu wytoczono najcięższe kolubryny. Pod ogniem tych kolubryn nie ostał się nawet własny obóz „artylerzystów". Przeciwnie — tutaj właśnie możliwości „likwidowania" były największe. Z niechęcią i podejrzliwością obserwowano wszelkie przejawy krytycznej myśli wśród najbardziej lojalnych ludzi, wietrząc w tym zarodek wyklętych „partyj". Nie chciano słyszeć, iż w życiu współczesnym prawie wszystkie zagadnienia są ze sobą ściśle związane, i że żaden syntentyczny umysł nie zadowolni się nigdy fragmentem, a będzie dążył do ogarnięcia całości. Że z tego punktu widzenia zarówno kwestie gospodarcze, jak naprz., kwestia kierunku wychowania młodzieży są **zagadnieniami politycznymi**, i że nie można obywatelowi zabronić o nich myśleć.

Rozumowania tego rodzaju były poczytywane za objaw mentalności „gasnącego świata"... Ideałem stało się jakgdyby bierne i zatomizowane społeczeństwo, nad którym miała panować podniesiona do godności symbolu państwa biurokracja, a nad nią dopiero miała istnieć nieliczna warstwa, rezerwująca dla siebie prawo myślenia kategoriami politycznymi... Tak wyglądała w praktyce realizacja pięknej teorii...

NOWOCZEŚNI FAUSTOWIE.

Momentem, szczególnie komplikującym sprawę był fakt, iż zespół ludzi, wyznających tego rodzaju koncepcję, posiadał dostatecznie silne charaktery, ażeby ją z uporem i z konsekwencją realizować. Posiadał zarazem dostatecznie dużo pewności siebie, ażeby uwierzyć w swoją nieomylność i ażeby odrzucać wszelkie przeciwne sugestie. Nie pomagały żadne perswazje i dowodzenia, że życie w rzeczywistości układa się całkiem inaczej. Że, aby zlikwidować lub osłabić stronnictwa polityczne, trzeba im przeciwstawić swoją własną organizację, będącą wyrazem skrystalizowanego prądu ideowego. Że obojętność społeczeństwa na sprawy publiczne może wprawdzie ułatwić doraźnie technikę rządzenia, lecz że na dłuższą metę może się okazać fatalną dla Państwa. Że anachronizmem jest metoda „rzucania małych zespołów" tam ,gdzie trzeba wyzwolić utajone złoża energii z mas. I że wreszcie — z pism Marszałka wynika całkiem inna nauka, jeśli chodzi o rolę jednostki i jej odpowiedzialności za państwo.....

Te wszystkie perswazje nie odnosiły żadnego skutku. Patrzenie przez różowe okulary było podniesione nieomal do godności dogmatu. Wytworzony został pewien uproszczony schemat, z którym miał się ułożyć rozwój wydarzeń. Gdy życie nie chciało się weń układać — dąsano się i gniewano, lecz uparcie wierzono nadal w fikcję... Gorzej — bo wkładano olbrzymie ilości energii w podtrzymywanie złudzenia, że fikcja istnieje... Wyklęto i wykreślono ze słownika — słowo „masy". Pójść w masy, budzić je i organizować — to znaczyło przecież prowadzić „polityczną" robotę, to znaczyło stanąć wobec nowych ludzi i wobec nowych, niepokojących zagadnień. A tymczasem chciano utrwalić na czas możliwie najdłuższy wytworzony układ stosunków. Nigdy jeszcze nie święciła takich triumfów swoiście pojęta ideologia konserwatywna. Istniejący stan rzeczy uznano za ideał, do którego nic już nie można było dorzucić. Wzorem doktora Fausta zdawano się wołać: „Chwilo, zatrzymaj się, jesteś piękną..."

ZATKANE FILTRY.

Życie jednak nie chciało zatrzymać się w wyznaczonym mu punkcie. Piękne miraże, stworzone przez bujną wyobraźnię, rozwiać się musiały, jak fata-morgana w pustyni... Nurt życia popłynął w innym, ale to całkiem innym kierunku. Ci, co uwierzyli w formułkę, że „partie się skończyły", ze zdumieniem patrzyli, że dzieje się zupełnie inaczej. Nie zlikwidowano ani jednej z wrogich partyj. Ze zdumiewającą lekkomyślnością zniszczono pasy transmisyjne łączące własny obóz ze społeczeństwem, lecz nie naruszono stanu posiadania przeciwnika. Zniechęcono i odepchnięto od siebie najbardziej ideowych ludzi, którzy porwani czarem Wielkiej Legendy, chcieli pracować dla Dobra i Honoru Polski. Zakorkowano wszelkie drogi naturalnej „filtracji elit". Warstwa rządząca, pozbawiona naturalnego dopływu świeżych sił w drodze eliminacji talentów i charakterów, musiała się uzupełniać systemem najgorszym, t. zn. s z w a g r o w o - b r y d ż o w y m.

Skutki tego rodzaju systemu nie dały na siebie długo czekać. W społeczeństwie, odsuniętym od spraw publicznych, zaczęły się mnożyć niepokojące objawy. Słowa „praca dla państwa", „zagadnienia społeczne" — zaczęły wywoływać ironiczny uśmiech. Celem stała się kariera, stopień służbowy, pieniądze i użycie... Najbardziej wartościowe jednostko ogarniała niewiara i depresja. Załamywała się psychicznie najbardziej ideowa stara gwardia, mająca na piersiach odznakę „za wierną służbę". Życie polskie zaczęło przypominać zamknięty garnek na ogniu, w którym pod ciężką pokrywą dusiło się i macerowało wszystko, co w Polsce nie chciało żyć dniem dzisiejszym i wyzbyć się troski o Całość...

Stan taki nie mógł trwać *od aeternum*. Dla światłych umysłów stało się jasnym, że się zabrnęło w ślepy zaułek, i że trzeba zatrąbić na odwrót. Padły wreszcie tak proste, a tak dawno oczekiwane słowa: Musi się w Polsce stać coś nowego... W dusznej atmosferze powiał jakiś ożywczy wiatr, — płuca zaczęły chwytać trochę powietrza. Maltretowany zdrowy rozsądek zdawał się odzyskiwać swoje prawa. T a k ą b y ł a g e n e z a O Z N. W takich warunkach musieli rozpocząć swą pracę płk. Koc i płk. Kowalewski. Takie są wreszcie okoliczności, zmuszające do stwierdzenia, że jest to praca wyjątkowa, bez precedensów i bez analogij.

Gdyby skromnej placówce publicystycznej wolno było zwracać się do osób, stojących na świeczniku, gdyby wolno było dorzucić swoje oświetlenie faktów i zjawisk, widzianych „od dołu", nasza apostrofa tak brzmieć by musiała:

„PANIE PUŁKOWNIKU KOWALEWSKI!

Stoi Pan na najbardziej trudnej placówce, jaką sobie tylko można wyobrazić. Nie znamy tajemnic MSZ i Sztabu Głównego, lecz wydaje się nam, że nawet Pańskie wspaniałe posunięcia w Rumunii nie były rzeczą trudniejszą. Nie ma piękniejszej rzeczy nad ideę Zjednoczenia Narodowego, lecz nie ma również trudniejszego terenu i trudniejszych warunków.

Nie przyszedł Pan budować na równym i gładkim terenie, gdzie myśl konstruktywna może planować swobodnie ulice, place i bloki mieszkalne. Przyszedł Pan na mokry i grząski teren, zarosły chwastami i zielskiem, zawalony rumowiskiem i gruzem. Na terenie tym sterczą dotąd rudery z dnia wczorajszego. Po terenie tym błąka się dotąd falanga pół ludzi, pół widm, niby tkwiących jeszcze w rzeczywistości, lecz już nie mających z nią nic wspólnego...

Panie Pułkowniku! Pan jest żywym i nowym człowiekiem, nie obciążonym hipoteką błędów i ujemnych doświadczeń. Nie ponosi Pan odpowiedzialności za grzechy i winy przeszłości. Niech Pan wierzy, że nie my jedni oczekujemy od Pana wielkich i śmiałych posunięć.

Te stare rudery, Panie Pułkowniku, trzeba corychlej zburzyć,

a pole zaorać! Ten teren trzeba osuszyć, rowy na nim przekopać, mętną wodę spuścić czemprędzej... Ten korowód widm, jękliwie zawodzących: „ne ruszać ruder — to świętość!" — trzeba egzorcyzmami wpędzić do niebytu!...

W swojej walce o Zjednoczenie Narodu posiada Pan olbrzymie atuty. Ma Pan za sobą słuszność i świętość sprawy, której Pan służy. Stoi za Panem wielki Autorytet Moralny, prawowity spadkobierca Wielkiego Testamentu. Ale dzieło Pańskie o ileż będzie trudniejsze, jeśli nie będzie okupione ofiarami! Jeśli będzie dokonywane rękoma ludzi, którzy wyczerpali już swój kapitał zaufania. Jeśli nie będzie rozwiązany problem „nowego w Polsce człowieka", o którego tak namiętnie walczył Adam Skwarczyński".

„NIECH USTĄPIĄ Z TESTAMENTEM..."

Istnieje znana teoria włoskiego socjologa Vilfredo Pareto, nazwana przezeń „krążeniem elit". W myśl tej teorii elita, która po zdobyciu władzy weszła w „stadium konsumcji", po pewnym czasie wyczerpuje swoje możliwości twórcze i musi ustąpić miejsca innej. Ta nowa „elita władcza" formuje się zazwyczaj gdzieś na boku i w tej czy innej drodze dochodzi do władzy.

Formy walki o władzę mogą być najrozmaitsze: od krwawego „pronunciamento" republik południowo - amerykańskich aż do klasycznego „wahadła parlamentarnego" w Anglii. Ale zasada pozostaje ta sama: „Niech ustąpią z testamentem nowym prawom już starzy"... Na miejsce ekipy zużytej musi przyjść ekipa świeża. Na tym polega postęp ludzkości.

Nie ma żadnych powodów do przypuszczenia, ażeby Polska mogła pod tym względem stanowić wyjątek. Ekipa, która nadawała ton życiu polskiemu, a która była zgrupowana w Bloku Bezpartyjnym, rolę swoją już zakończyła. W kraju panuje żywiołowe pragnienie r z e c z y n o w y c h. Nowych ludzi i nowych metod. Pragnienie to jest tak powszechne, że może uchodzić za rzadki przykład jednomyślności wśród Polaków.

Należy zastrzec się wyraźnie, że nie chodzi w danym przypadku o jądro ideowe, symbolizujące tradycję niepodległościową i zajmujące kluczowe dla kwestii bytu państwa posterunku. Są dziedziny tak organicznie związane z samym istnieniem Państwa, że największe animozje ustąpić muszą wobec elementarnego instynktu obywatelskiego.

Nie chodzi tu również o dokonanie gwałtownego kontr-przewrotu i objęcie władzy przez ugrupowania opozycyjne. Tak wygląda dana tendencja tylko po jednej, jaskrawo opozycyjnej stronie wachlarza społecznego. Człowiekowi środka, stanowiącemu większość, chodzi po prostu o z m i a n ę l u d z i, metod i atmosfery.

REWOLUCYJNOŚĆ OZN

Obóz Zjednoczenia Narodowego posiada, teoretycznie biorąc, wszelkie dane, ażeby stać się symbolem i wyrazem tej zmiany. Pomimo bowiem niewątpliwej ciągłości tradycji ideowej, koncepcja jego jest a n t y t e z ą, jest czymś wręcz r e w o l u c y j n y m w stosunku do dawnych założeń Bloku. Ten moment należy z całym naciskiem podkreślać, gdyż prowadzoną jest celowa akcja w kierunku zatuszowania tej właśnie cechy Nowego Kursu.

Twierdzenie o rewolucyjności OZN nie jest paradoksem. Trzeba tylko przypomnieć sobie moment jego właściwych narodzin. Trudno jest wyobrazić sobie bardziej oskarżycielskie słowa od tych, które padły na pamiętnym zjeździe legionistów: „Jak można chcieć budować Państwo, gdy się nie ma zorganizowanej i jednolicie kierowanej woli? Spójrzcie, obywatele, co się dzieje na Wschodzie i na Zachodzie...::

A przecież koncepcja Bloku opierała się właśnie na tym, że nie są nam potrzebne żadne hitlerowskie herezje o jednolitym kierownictwie i organizowaniu i uaktywnianiu mas! Że nie jest nam potrzebna żadna „zorganizowana wola", a wystarczą „małe zespoły" i aparat państwowy, czyli biurokracja. Podobnie jak niegdyś Polska stała nierządem wśród rządnych sąsiadów, tak i dzisiaj miała stać bezwładem wśród uaktywnionych i tętniących dynamizmem kolosów! Gdy się uwzględni, w jakich szczególnych okolicznościach padły te nabrzmiałe ironią słowa, czy można sobie wyobrazić bardziej wyraźne potępienie dawnego kursu? I czy wyda się paradoksem twierdzenie, iż mimo pozorów ciągłości, dokonany zwrot był w istocie swojej z w r o t e m r e w o l u c y j n y m?

Ferdynand Goetel w jednym ze swoich artykułów o OZN zarzucał społeczeństwu brak zainteresowań politycznych. A przecież za czasów Bloku ta właśnie cecha uchodziła za cnotę obywatelską, ten właśnie „brak zainteresowań" stanowił cel całego systemu! Dla realizacji tego celu zużyto olbrzymią sumę wysiłków, w imię tego celu dokonało się tyle cichych tragedyj osobistych!... Czy można dziś wyobrazić sobie większą rewolucję pojęć? To już nie jest wyłącznie Thermidor, to jest zwrot o całe 180 stopni!...

Jeśli się stanie na stanowisku, że powstanie OZN było istotnie symbolem „czegoś nowego w Polsce", mogło się wydawać, że z koncepcją tą będzie związany najściślej problem „nowego w Polsce człowieka". Że w łonie OZN uformuje się nowa kadra przyszłej „elity władczej", która łącznie z pokrewnymi ideowo formacjami zastąpi starą wyjałowioną ekipę, i że w ten sposób zamknie się bez specjalnych wstrząsów paretowski cykl „krążenia elit".

Niestety, cały szereg objawów z danej dziedziny budzić musi obawy i zaniepokojenie. W społeczeństwie zaczyna być lansowana teza, że akcja OZN ma na celu nie uformowanie nowej ekipy w celu zastąpienia zużytej starej, lecz że to właśnie owa s t a r a e k i p a montuje tę całą imprezę, ażeby odroczyć moment swojego zejścia ze sceny. Dają się słyszeć głosy, że OZN — to tylko dawny BBWR w nowym wydaniu. Że na dołach robią go ci sami, dobrze znani ludzie, i że wobec tego — *lasciate ogni speranza,* ażeby się cośkolwiek mogło zmienić...

Należy stwierdzić lojalnie, że propagatorzy tej tezy powołują się zazwyczaj na fakty konkretne. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż cały szereg dawnych działaczy — jak gdyby nic — uśmiecha się dziś przyjemnie w stronę „Ozonu" i z bukietem w ręku zapewnia o afekcie. Cały szereg fanatyków i ideologów dawnego kursu przyznaje się dziś do pokrewieństwa i zgłasza współpracę. Następuje zjawisko masowego przemalowywania się na modny kolor. Aby tylko utrzymać się na powierzchni, aby tylko złapać wiatr pod żagle...

Należy pamiętać poza tym, iż w Polsce wytworzyła się, niestety, dość liczna warstwa ludzi, dla których jest absolutnie wszystko jedno, jakim bogom się kłaniać, i jakie dogmaty wyznawać. To wszystko bowiem nie jest ważne, to wszystko nie ma znaczenia wobec tej jednej istotnie ważnej rzeczy: ilości otrzymanych na pierwszego kolorowych papierków...

DZIADY I ALPUHARA.

Jeśli chodzi o ocenę roli, jaką odegrał w Polsce Blok Bezpartyjny, a ściślej biorąc — **koncepcja elitarna,** której sam Blok był tylko wyrazem, należy trzymać się zasady: *de mortuis nil nisi bene...* Dziś, gdy nieboszczyk spoczywa snem wiecznym, byłoby rzeczą zbyt łatwą, a nawet niegodną, rzucać na jego mogiłę kamienie oskarżeń. Niechaj Historia rozstrzygnie, czy w istniejących warunkach czasu i miejsca nie była to jedynie możliwa koncepcja, czy przy innym zespole wykonawców wyniki nie byłyby inne... Nie ma wszak tak pięknej idei, której by ludzie nie potrafili zapaskudzić... Powtarzamy: *requiescat in pace!*

Ale sytuacja zmieniłaby się, gdyby się okazało, że duch nieboszczyka nie może przekroczyć bram wiecznej szczęśliwości; że błąka się uparcie między żywymi, i że nie tylko w czas uczty na Dziady, lecz i w dzień powszedni chce dzielić z nimi posiłek i troski. Że chce patronować ich poczynaniom, krokami ich kierować i rady na ucho szeptać. Gdyby tak się okazało istotnie, wówczas trzeba mocnym głosem zawołać w przestrzeń: „Czego potrzebujesz duszyczko, aby się dostać do nieba?" I niezależnie od odpowiedzi — nie żałować ani egzekwij, ani zaklęć, ani „przysmaczków słodkich", ażeby tylko odseparować świat rzeczywistości, świat trzech wymiarów, od świata duchów i zjaw! Są bowiem rzeczy nowe, które *nie dadzą się pogodzić* ze starymi. Przeszłość, przyznająca się do ojcostwa teraźniejszości, może być nie zawsze wyrazem praw naturalnych. Może to być czasami w y r a f i n o w a n a z e m s t a z a g r o b u. Dzień Wczorajszy, pochylający się nad kolebką Dnia Dzisiejszego i składający pocałunek na jego

ustach — może czasami do złudzenia przypominać cień Almanzora...

*

* *

Wszystko, co było powiedziane wyżej na temat roli„ B. B“ w Polsce, należy brać, rzecz prosta, w przenośni i w bardzo dużym „stanie rozcieńczenia“. Samego pojęcia „Bloku“ lub „BB“ nie należy przede wszystkim identyfikować z organizacją, noszącą niegdyś nazwę „Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem“. Nie należy identyfikować tym bardziej z poszczególnymi osobami, które doń należały. W Polsce istnieje zbytnia łatwość w zapominaniu uczciwych pobudek i rzetelnej pracy a pamiętaniu o stronach ujemnych. Gdy ktokolwiek chodzi w glorii lub stoi na szczycie piramidy — wówczas kadzi mu się i bije pokłony, gdy zaś fortuna się odwrcci lub wiatr inny powieje, wówczas — hejże na Soplicę!... Użyty wyżej termin „BB“ stanowi p o p u l a r n y s k r ó t na określenie pewnego kompleksu pojęć o wzajemnym stosunku społeczeństwa i aparatu państwowego oraz pewnych metod oddziaływania. Nie trzeba dodawać, iż kompleksu pojęć — nie zawsze słusznych i kompleksu metod — nie zawsze właściwych. Skrót ten, aczkolwiek nieścisły, utarł się jednak w żargonie politycznym i zyskał prawo obywatelstwa. Publicystyka polityczna może się więc nim posługiwać, pamiętając jednak stale o jego symboliczności.

Należy pamiętać poza tym, iż punkt ciękości powyższych wywodów nie leży bynajmniej w płaszczyźnie porachunków z przeszłością, względnie łatwych oskarżeń. Celem ich było udowodnienie, że zagadnienie Zjednoczenia Narodowego w Polsce jest nie tylko zagadnieniem organizacyjno-programowym, lecz przede wszystkim m o r a l n y m i p e r s o n a l n y m. Montesquieu powiedział kiedyś, że „podstawą Republiki jest cnota“. Dziś, po stu pięćdziesięciu latach z górą, twierdzenie to nie straciło nic na na aktualności. W Polsce do zagadnienia tego dochodzą poza tym jeszcze dwa inne: problem odpowiedniej atmosfery psychicznej i problem „nowego w Polsce człowieka“.

Veritas.

DĄB I TRZCINA

Każdy kto podróżował kiedykolwiek po kraju, kto zna polski krajobraz, pamiętać musi symboliczny, a tak często spotykany widok. Na wysokim brzegu jeziora lub rzeki rośnie dąb. Stoi mocno na twardym gruncie, zapuściwszy głęboko korzenie. Gdy nadleci poryw wichru, szumi majestatycznie jego liściasta korona, lecz nie zadrżą i nie ugną się jego potężne konary.

Niżej, na moczadłach i grząskich bagniskach, rośnie trzcina, Gną się i chwieją jej zarośla przy każdym podmuchu wiatru, kłaniają się nisko na wszystkie świata strony, zależnie od tego, skąd wiatr powieje... Ażeby zwalić dąb — trzeba pioruna lub siekiery; aby naciąć trzciny — wystarczy zwykły scyzoryk...

Trudno jest nie przypomnieć tego symbolicznego kontrastu, gdy się rozważa jedno z najkapitalniejszych zagadnień Polski dzisiejszej — kwestię charakterów. Gdy się chce znaleźć uczciwą odpowiedź na pytanie: jakiemi kryteriami kierowano się u nas w ocenie wartości jednostki? Czy poparciem cieszyły się charaktery o cechach dębu, czy też raczej trzciny? Czy uważano za rzecz dodatnią stałość i niezależność przekonań, niechęć do kłaniania się możnym, przyzwyczajenie do chodzenia własnymi drogami, wyszukanie linij nie najmniejszego, lecz największego oporu? Mówiąc obrazowo, czy zawsze zdawano sobie sprawę, że naprawdę wartościowym budulcem dla gmachu przyszłości może być tylko dąb, ale nigdy trzcina?...

Dla każdego, kto ma za sobą doświadczenie w pracy publicznej, nie ulega wątpliwości, że powodzenie każdej akcji społecznej zależy przede wszystkim od charakterów. Wielki wychowawca młodego pokolenia w Niepodległej Polsce i ideolog Nowej Polski Adam Skwarczyński z najgłębszym przekonaniem pisał, że „budowy nowej Polski nie zaczniemy wznosić... samemi, ideami, programami... nie wydyskutuje się jej w sejmach i na zgromadzeniach politycznych“, lecz że „budowa... nowego człowieka w Polsce... odbywa się przez *wyrabianie charakterów i moralności,* a te wartości można tylko wypraktykować“. Własnym przykładem i słowem starał się „Pan Adam“ ugruntować przekonanie, że tylko taka praca stworzy typ wartościowego obywatela o walorach charakteru, które pozwolą mu na wypełnienie trudnych obowiązków względem Narodu i Państwa, chociażby warunki i otoczenie wręcz nie zachęcały go do pracy dla dobra ogółu.

Wydaje się, że nie trzeba ani unaoczniać, ani też przypominać, że wieloletnie walki prądów społeczno - politycznych oraz wieloletnie zmienne wpływy na kierunek wychowania obywatela w Polsce musiały wydać swoje zatrute owoce. Jaki bowiem człowiek był najbardziej zwalczany i niemile widziany? Czy nie był nim często człowiek o dużej godności osobistej, o twardym karku, o samodzielnym sposobie myślenia, czyli taki właśnie, jakiego chciał widzieć w Polsce Adam Skwarczyński? Trudno jest, niestety, zaprzeczyć, iż najbardziej sympatycznie patrzano na jednostki deklarujące swoją współpracę w szerszym lub węższym zakresie, oraz swoje oddanie się „bez zastrzeżeń“, nie wchodząc przy tym ani w pobudki deklaranta, ani też nie badając częstokroć jego istotnej wartości. Nawet interesowne lub udane uleganie wpływom danej grupy społeczno - politycznej dawało dostateczną legitymację do korzystania z przywilejów tej grupy.

Nie ulega wątpliwości, iż trudniej jest zawsze współpracować z ludźmi posiadającymi dużą godność osobistą, własną indywidualność, ustalony charakter i silną wolę, ustalony i przemyślany światopogląd oraz naszkicowany zarys i kierunek tęsknot i dążeń ideowo - społecznych. Ludzie ci prawie zawsze idą ciężką drogą przez życie, wkładając dużo trudów w pracę nad sobą i trzymając się zasady, że wszelkie refomy należy zacząć od siebie. Wszyscy oni uznają za bezsporne, że stworzenia wielkiego dzieła można podjąć się tylko przy współpracy ludzi wartościowych, posiadających wyraźny *pion ideowy* i mających cywilną odwagę powiedzieć w razie potrzeby rzeczy niepopularne i przykre. Wszystko bowiem zależy w ostatecznym rachunku od człowieka i jego charakteru. Byłoby więc bardzo pożądanym, gdyby wszyscy pretendenci do prawa kierowania społeczeństwem pamiętali wskazania A. Skwarczyńskiego, który mówił, że „kto chce, by naród tworzył, by naród szedł górę, by naród rósł w potęgę, by spełniał misję — ten musi *sięgnąć w serca,* zmienić, podnieść dusze, przetworzyć całość życia ludzkiego. A tego nie dokona filozofia, słowo, hasło. Dokonać tego może tylko praca“. To byłoby elementem pdstawowym przyszłości i wielkości Narodu, to byłoby także głównym elementem współżycia społecznego, którego przejawem jest „owa zdolność do subordynacji moralnej, nie opartej na sile jedynie fizycznej i na przymusie, owa właściwość. która wszelkiemu rządowi, wszelkiej władzy wtedy dopiero sprawną być pozwala, gdy podstawę w psychice zbiorowej, w dobrej woli, w zbiorowym natchnieniu wyrobić sobie potrafi“. Historia Polski uczy nas, że Polacy wtedy tylko imponowali bahaterstwem, wtedy tylko dawało ono pożyteczne efekty dla kraju, gdy było wywołane zbiorowym zgodnym natchnieniem.

* *

*

Rozważanie kwestii charakterów i ich roli w życiu społecznym doprowadza do zagadnienia znacznie szerszego i wybitnie aktualnego: Totalizm czy Demokracja? Nie ulega wątpliwości, iż właściwa ocena roli jednostki ludzkiej stanowi potężny atut na rzecz Demokracji. Ustrój bowiem demokratyczny, racjonalnie pojęty, sprzyja wyrobieniu się godności osobistej i samodzielności w człowieku. Obrońcy Demokracji mają dużo racji, gdy twierdzą, że ustrój ten daje bodaj najwięcej możliwości do postawienia człowieka-obywatela na właściwym poziomie. Docenia on bardziej rolę pojedyńczego człowieka, który zarówno pojedyńczo, jak i w zespołach ma prawo i możność wpływu na rozwój wydarzeń w Państwie. Dobrze jest jeżeli wychowanie młodego pokolenia w ustroju demokratycznym nauczy odróżniać rzeczy pożyteczne od szkodliwych oraz przyzwyczai do zespołowego a nawet masowego uczestnictwa w realizacji rzeczy pożytecznych.

Ustrój demokratyczny, według swoich obrońców, ma najwięcej możliwości stworzenia obywatelowi takich warunków życia i pracy, w których miałby on chęć i zapał do wykonania jaknajwiększej sumy pracy z troską nietylko o korzyści i wygody własne, ale przede wszystkim ze stałą troską o dobro Narodu i Państwa. Chodzi więc o to, ażeby w Polsce wytworzyć psychikę społeczną, nastrój zbiorowy, który by siłą swej prężności stawiał wartościowych ludzi na czoło ruchów społeczno - politycznych, spychając na najdalszy plan jednostki nie posiadające ideałów w duszy, serca uspołecznionego, zahartowanej woli i stalowego charakteru. Oczywiście, niezbędnym warunkiem jest równocześnie posiadanie tęgiego umysłu, dużego zasobu wiedzy i długiego różnorodnego, praktycznego doświadczenia, gdyż te tylko elementy przy dużym moralnym osobistym autorytecie dają dopiero prawo do ubiegania się o przywództwo nad ludźmi. Te wszystkie fragmentaryczne rzuty i obserwacje wskazują, jak dużo pracy przygotowanej należy wykonać przed zdecydowaniem się na czynny udział w życiu politycznym a tym bardziej na stworzenie jakiegokolwiek ruchu społeczno - politycznego.

Adam Skwarczyński w Myślach o Nowej Polsce po stwierdzeniu, że dla pracy społeczno - wychowawczej musi być stworzona odpowiednia atmosfera, tak kończy swą rozprawę: „W tej dopiero *atmosferze moralnej* człowieka odczuwającego rytm pracy, rozkosz inicjatywy i odpowiedzialności, będzie możliwa budowa ideologicznej kopuły nad życiem konkretnym i ku życiu tego użytkowi; budowa nowych idei, światopoglądów, — nowej wiary“...

Taką atmosferę moralną trzeba wytworzyć w Polsce, aby mogło się dokonać istotnie zjednoczenie Narodu, aby przełamać zniechęcenie i marazm, aby umożliwić działalność jednostek o niezależnym charakterze, odsuwanych od warsztatów konkretnej pracy. Jednostek tych jest w Polsce dużo — znacznie więcej, aniżeli się przypuszcza. Są one we wszystkich ugrupowaniach i warstwach społecznych. Pomimo dzielących je etykietek odczuwają one swoje pokrewieństwo psychiczne i dążą do wzajemnego poznania i porozumienia.

Jest rzeczą bezstronnych obserwatorów ocenić, czy te właśnie jednostki reprezentują charaktery o cechach dębu. Ale nie ulega wątpliwości, że instyktownie odczuwają one pogardę do giętkiej trzciny, kłaniającej się układnie pod wpływem podmuchów zmiennej koniunktury. Nadejdzie czas, gdy runą dzielące je sztucznie przegródki i uprzedzenia, a miejsce niepotrzebnych utarczek zajmie współpraca. Konsolidacja charakterów winna bowiem stanowić niezbędny warunek Przełomu Narodowego.

Stanisław Mikiciuk.

REFLEKSJE I UWAGI.

OBLICZE IZRAELA.

„Kurier Poranny“ drukuje od szeregu tygodni b. ciekawe odpowiedzi na ankietę: „Kultura polska a Żydzi“. W toczącej się dyskusji zabierali głos J. E. Skiwski, Irzykowski, dr. Miklaszewski, Jerzy Zagórski, Alfred Łaszowski i inni. Wniosek, który z tej dyskusji można wyprowadzić, brzmi dość paradoksalnie, — że oto zaczynamy mniej więcej orientować się, czym są właściwie Żydzi. Pomimo bowiem wiekowego współżycia, faktem jest, że Żydów dotąd nie znamy. Co więcej — propaganda żydowska potrafiła w wielu wypadkach narzucić nam zgoła fałszywy obraz Izraela, tak mający się do oryginału, jak Bund do Palestyny. Wrzaskliwe trąby jerychońskie kładły nam od lat do uszu, że Żydzi — to zaczyn kultury, drożdże cywilizacji, pionierzy postępu, tępiciele nienawiści, wrogowie zabobonów, heroldowie wolności, apostołowie pokoju, głosiciele tolerancji it. itd. Trzeba było bardzo dokładnego przyjrzenia się tym „heroldom“ aby wykryć skomplikowane, lecz w gruncie rzeczy całkiem niedwuznaczne oszustwo.

Dobrze się więc stało, że zaczynamy powoli przecierać oczy i badać objektywnie chemiczny skład owych „drożdży“. Dobrze się stało, że naprz. p. Skiwski pisze w ten sposób:

> „**Żydzi są nietolerancyjni**, jakkolwiek wymagają tolerancji od innych. Jeśli ktoś nie jest jak oni, jeśli nie ma tego lekkiego, płytkiego uśmieszku, niwelującego wszystkie wartości — nie jest ich człowiekiem. Nie znoszą go. Mobilizują przeciw niemu swoją zawistną ironię. Nie pozwalają obok siebie wzrastać ludziom o innym niż oni składzie psychicznym.
>
> Co ciekawe, że ten ekskluzywizm, nietolerancja i megalomania żydowska udzielają się z niezwykłą siłą filosemitom aryjskim“.

Podobnie ma się sprawa i z innymi cechami żydowskimi. Ci rzekomi anty - nacjonaliści okazują się największymi nacjonalistami, jeśli chodzi o ich własny naród! Ci rzekomi wolnomyśliciele okazują się największymi „religiantami“, gdy chodzi o ich własną religię! Wolno jest ośmieszać każdą religię — byle nie żydowską. Wolno jest tępić wszelkie zabobony — byle nie żydowskie. Wara od uboju rytualnego!

Jest rzeczą ciekawą, że Żydzi dotąd jeszcze nie wyrzekli się wmawiania w aryjczyków, że kwestja żydowska w Polsce nie istnieje. A raczej że polega ona wyłącznie na tem, że Żydzi dotąd jeszcze nie posiadają [illegible] które mieć powinni. P. Jerzy Wyszomirski naprz. podpisuje się w „Wiadomościach Literackich“ pod twierdzeniem Einsteina, że „kwestia żydowska jest tylko b a r o m e t r e m p o z i o m u m o r a l n e g o w świecie“. Gdy poziom ten opada — wówczas na powierzchnię wylania się kwestia żydowska. Czyli, innemi słowy — niema żadnej kwestii przeludnienia wsi, niema opanowania życia gospodarczego przez żydów, niema fatalnego wpływu na kulturę polską, niema 80% szajgeców w komsomole, a jest tylko — barometr moralny...

Całe szczęście, że już na tym koniku daleko się nie zajedzie...

ZMARNOWANA OKAZJA CZYLI TRZECIE PAŃSTWO NIEMIECKIE.

Na terenie Gdańska rozgrywa się codzień jakaś antypolska heca. Macież Szkolna, dzieci, robotnicy, pisma, listonosze — repertuar jest b. różnorodny. I co najgorsze — niema żadnej pewności, że został on już wyczerpany. Opinia publiczna nie ma żadnej pewności, czy pewnego dnia — za pociągnięciem nici z wiadomego ośrodka — nie rozegra się w Gdańsku jeszcze jakaś nowa grubsza awantura.

Obecny stan rzeczy w Gdańsku jest załamaniem się całej naszej dotychczasowej polityki na tym odcinku. To trzeba wyraźnie powiedzieć. Cały gmach złudzeń co do wartości porozumień, umów, zobowiązań, „szczerego stawiania sprawy“, zapewnień o „uszanowaniu praw“ itp. leży dziś w gruzach. Kto zaś czytał książkę Henryka Strassburgera, b. Komisarza Generalnego R. P. pt. „Sprawa Gdańska“, ten wie dobrze, że sami nie jesteśmy pod tym względem bez winy...

W Gdańsku dokonał się auschluss partyjno - polityczny Wolnego Miasta do Rzeszy. Jest to fakt niesporny. Ponieważ zaś w III Rzeszy pojęcie partii i państwa pokrywają się ze sobą, tą więc okólną drogą zostało zrealizowane częściowo hasło rebelii gdańskiej „Zurück zum Reich!“ Nad Gdańskiem powiewa dziś czerwona flaga ze swastyką (państwowa flaga Rzeszy!), dwa zaś krzyże z koroną zostały zredukowane do poziomu warszawskiej Syreny.

Rzecz prosta, nie o takim auschlussie marzyli patrioci wszechniemieccy. Terytorium gdańskie do dnia dzisiejszego jest obciążone poważnymi serwitutami na rzecz Polski. Sieć kolejowa gdańska jest własnością Polski, na terytorium W. Miasta nie stacjonują poważniejsze jednostki niemieckiej siły zbrojnej, w porcie nie może być założona baza niemieckiej floty wojennej itp. Są to rzeczy bardzo poważne. Mamy jeszcze bronić czego w Gdańsku, chwalić Pana Boga...

Ale z drugiej strony — została zmarnowana jedyna w swoim rodzaju okazja, która może już się nie powtórzyć... Ni mniej, ni więcej, tylko została zaprzepaszczona możliwość przecięcia nici, łączących Gdańsk z Berlinem! Taka bowiem sytuacja wytworzyła się z chwilą, gdy władzę w Rzeszy objął Narodowy Socjalizm, w Gdańsku zaś rządziły ugrupowania centrowe i socjalistyczne. Niestety, nie zrozumiano i nie doceniono tej jedynej w swoim rodzaju konjunktury. Nie zrozumiano, że oto zarysowuje się w Gdańsku możliwość zorganizowania czegoś w rodzaju t r z e c i e g o p a ń s t w a n i e m i e c k i e g o. Jednym takim państwem jest bowiem Rzesza, drugim — Austria, trzecim (w odpowiedniej skali!) mógłby być Gdańsk. Byłoby rzeczą zupełnie obojętną, jakim byłby ten nowy Gdańsk — socjalistyczny, centrowy czy koalicyjno - wejmarski. Aby tylko był i n n y, niż Rzesza, aby tylko dyspozycje do Gdańska nie przychodziły z Berlina. Tego wymagała i wymaga dotąd polska racja stanu.

Rzecz prosta, socjaliści gdańscy nie byli przyjaciółmi Polski. Wprost przeciwnie — oni to w 1920 r. zatrzymywali transporty amunicji dla Polski.

oni to wrzeszczeli nie gorzej od „deutsch - nationale“: „Zurück zum Reich!“ Kto wie jednak, czy słusznie urągano p. Niedziałkowskiemu, że oto interes swoich towarzyszy gdańskich stawia rzekomo wyżej od polskiej racji stanu... Kto wie, czy wszelikego rodzaju *Schadenfreude*, że oto przyszła kryska na Matyska, były tak bardzo na miejscu... Co innego bowiem antypatje „wewnętrzne“, a co innego polityka zagraniczna...

Gdy się rozważa sytuację Gdańska, z natury rzeczy szuka się jakichś jaśniejszych miejsc na pochmurnym niebie. Te jasne punkty — na szczęście — istnieją. Ale nie będzie to ani fakt polowania p. Goeringa w Białowieży, ani rozmowa gen. Góreckiego z gen. Blombergiem w Berlinie. Tymi faktami, krzepiącymi na duchu są wiadomości, że oto fortyfikuje się rejon umocniony Helu. Że nad Zatoką Gdańską panują paszcze polskich dział morskich. Że na lotniskach pomorskich drzemią eskadry bojowe, gotowe każdej chwili poderwać się do lotu... Oto jest właściwa płaszczyzna dyskusji o prawa polskie w Gdańsku, oto jest nasza **ultima ratio...** Czy będzie winą Polski, jeśli rozwój wypadków doprowadzi do wymiany tych właśnie argumentów?...

A propos polowań p. Goeringa, warto jest przypomnieć sobie pewien wierszyk, podany w swoim czasie przez jedno z warszawskich pism humorystycznych. Gdy p. premier pruski ustrzelił w Białowieży z dubletu parę wspaniałych rysiów, miał się odezwać w te podobno słowa: „Oddam tobie rysiów z w a n z i g, — wezmę wzamian mały D a n z i g“...

POCHWAŁA DEMOKRACJI.

W prześwietnym Związku Sowieckich Republik Socjalistycznych dzieją się obecnie rzeczy niesamowite. Niesamowite nawet na ten kraj, gdzie — jak wiadomo — wszystko jest możliwe. Odbywa się tam obecnie generalny porachunek za niedociągnięcia piatiletek oraz generalne wyłapywanie zamaskowanych wrogów „linii generalnej“. Na marginesie warto jest przypomnieć, że owa osławiona „linia“ **(copyright by Stalin)** idzie, jak wiadomo, idealnie prostym... zygzakiem.

Metody likwidowania przyłapanych szkodników są b. schematyczne. Na rozprawie sądowej prokurator kwalifikuje oskarżonych jako wrogów ludu i „psów trockistowskich“ (czasem z bliższym określeniem: kundel, buldog lub „mośka“), potem następuje gremialne kajanie się, a potem... kres ziemskiej wędrówki. Czasami znów podejrzani „trockiści“ poprostu giną pewnego pięknego dnia, wychodzą na spacer i nie wracają więcej, roztapiają się nieznanym bliżej sposobem w cudotwórczej atmosferze ojczyzny sowieckiej. Czasami znów taki zdemaskowany „foksterjerek“ otrzymuje przyjacielską sugestię, że to „widzi Pan, pański proces byłby nam, z pewnych względów, nie na rękę... Lecz ponieważ, według naszego przekonania, Pan i tak już patrzy na księżą oborę, więc czy nie zechciałby Pan łaskawie, tak, ewentualnie — sam... I nam Pan oszczędzi przykrości, i sobie“...

Na wszechświatowej wystawie w Paryżu niema, jak wiadomo, Rosjan, — obywateli sowieckich. Na fakt ten zwróciła uwagę prasa paryska. Ale gdyby byli, nie wiem, czy potrafili by patrzeć w oczy normalnym ludziom z normalnego świata? Czy potrafiliby znaleźć z nimi wspólny język, o ile z ich słownika nie zostało wykreślone pojęcie godności obywatelskiej? Czy nie daliby się rozpoznać w tłumie nie dzięki czerwonym kokardom, lecz dzięki purpurze wstydu, bijącej z ich twarzy?...

Na marginesie wypadków sowieckich budzą się b. poważne refleksje. Jeśli bowiem obywatel polski, angielski czy francuski może ze współczuciem, lecz zgóry, spoglądać na nieszczęsnego obywatela sowieckiego, to kto wie, czy nie wynika to stąd, że w ich krajach panuje ustrój mniej lub więcej demokratyczny? Że mają oni zagwarantowane Konstytucja prawa, i że ich nie można tak poprostu, bez sądu, „zlikwidować“, jak pluskwę lub karalucha? Że, jeśli zechcą, mogą wysławiać Pana Boga w niebiesiech i pokłony Mu bić, lecz że nie są niewolnikami żadnego ziemskiego półboga, i nie muszą uważać za święte tego, co jego lewa noga w chwili ataku podogry wymyśli?...

Kto wie, czy w nas wszystkich, pomimo naszych smutnych doświadczeń, nie drzemie jednak ukryte przeświadczenie, że „dobra demokracja nie jest zła“, jak mówił kiedyś o wódce Dymsza czy Lawiński...

wil.

OBRZĄDEK SZKOCKI CHCE ZGODY...

Parę miesięcy temu na półkach księgarskich Paryża ukazała się książka, nosząca na opasce reklamowej sensacyjny napis: „Czy możliwym jest pokój między Kościołem a Wolnomularstwem?“ Książka nosiła tytuł „List do Najwyższego Kapłana“*). Autorem był Albert Lantoine, historyk masonerii francuskiej, autor dzieł: „Wolnomularstwo u siebie“, „Wolnomularstwo w Państwie“, „Hiram w koronie cierniowej“ i in. Przedmowę napisał niemniej znany pisarz masoński Oswald Wirth.

Książka wywołała natychmiastową reakcję w całym świecie. Dzieło wybitnego masona francuskiego zostało uznane za pierwszą publiczną ofertę, złożoną przez Masonerię Kościołowi Katolickiemu. Posypały się różne domysły, czy Autor występuje wyłącznie w Swoim własnym imieniu, jak to twierdzi, (aczkolwiek jest członkiem Rady Najwyższej Rytu Szkockiego), czy też wystąpienie jego należy uznać za próbny balon, wypuszczony na skutek decyzji najwyższych władz jego Obrządku.

Ozwały się również głosy, że cele i założenia Kościoła i Masonerii są tak sprzeczne, że o jakimkolwiek porozumieniu nie może być w ogóle mowy, i że wobec tego sensacyjny „List Otwarty“ jest tylko zręcznym wybiegiem, mającym uśpić czujność przeciwnika.

Niezależnie od słuszności tego czy innego poglądu, należy stwierdzić, że obecna próba porozumienia nie jest, chronologicznie biorąc pierwszą. Już bowiem w czerwcu 1928 r. wybitni wolnomularze, między którymi znajdował się Sekretarz Generalny Wielkiej Loży w New Jorku Ossian Lang oraz wiedeński filozof dr. Kurt Reichl odbyli w Akwizgranie spotkanie z niemniej wybitnym jezuitą, doskonałym znawcą spraw masonerii O. Gruberem. Rzecz prosta, nie starano się osiągnąć porozumienia co do zasad, albowiem było by to rzeczą niemożliwą. Spotkanie to nie było jednak jałowe, albowiem w jego wyniku „obie strony wykazały gotowość złagodzenia wzajemnych polemik, a w szczególności powstrzymania się od podyktowanych nienawiścią zarzutów, mogących wypaczyć faktyczny stan rzeczy“. Jak na istniejące dotąd stosunki, było to już bardzo wiele...

* *
*

Aby ocenić we właściwy sposób dzieło Lantoine'e, należy pamiętać przede wszystkim, że jest to oferta, złożona wyłącznie przez Obrządek Szkocki. Pierwsze słowa Listu Otwartego brzmią pod tym względem zupełnie wyraźnie: „Ojcze Święty! Jestem wolnomularzem *obrządku szkockiego*. Padkreślam z naciskiem ten ważny szczegół“. Nie istnieją więc żadne dane do przypuszczenia, ażeby stanowisko autora było podzielane przez masonerię Wielkiego Wschodu. Wręcz przeciwnie — Lantoine zamieszcza w swym dziele szereg uszczypliwości pod adresem „innej Masonerii“, która dla celów doraźnych sprzeniewierzyła się szczytnemu powołaniu prawdziwego Masona. Zwroty te pozwalają przypuszczać, iż w reprezentowanym przez Autora obozie panujące stosunki są dalekie od ideału jednomyślności.

Należy pamiętać również o pewnych szczególnych okolicznościach, w jakich ukazał się ów apel do najwyższego autorytetu świata katolickiego. List ten ukazuje się w chwili, gdy cywilizacja europejska została postawiona przed nowym, nieznanym jej dotąd fenomenem Totalizmu. Punktem wyjścia Lantoine'a jest teza, że wszelkiego rodzaju Totalizm, a w szczególności brunatny i czerwony, jest śmiertelnym wrogiem zarówno Kościoła, jak i Masonerii, i że wobec tego obie te potęgi duchowe winny zapomnieć o dzielących je różnicach i zaprzestać wyczerpujących utarczek. W obliczu wspólnego niebezpieczeństwa winien powstać wspólny front Ducha przeciwko Materii, albowiem triumfująca fala barbarzyństwa okaże się z pewnością równie bezlitosną w stosunku do Wiary, jak i do wolnej i wyrafinowanej Myśli. Taki jest tok rozumowań Lantoine'a.

Nie ulega wątpliwości, iż podana przez Autora ocena stanu faktycznego jest w znacznej mierze słuszna. Wszelkiego rodzaju ustroje totalne istotnie nie tolerują w swym łonie żadnych zakonspirowanych ośrodków myśli. Masoneria została zniszczona zarówno w Sowietach, jak i we Włoszech i Niemczech. Nie do pomyślenia jest istnienie na Kremlu obok Politbiura jakiejś Loży tego czy innego obrządku, w której by „brat“ Stalin musiał wysłuchichiwać od wielkiego Mistrza, względnie od „Brata Strasznego“, jakiejś mniej lub więcej nieprzyjemnej reprymendy. Wolnomularstwo więc, a przynajmniej jego spirytualistyczny odłam, posiada r e a l n y i n t e r e s, ażeby w obawie przed zagładą szukać sojusznika, i dlatego wystąpienie Lantoine'a może być uznane za szczere.

Istnieje poza tym jeszcze pewien moment szczególny, który sprawia, iż „postępowa“ Masoneria może dziś łatwiej, niż kiedykolwiek znaleźć wspólny język z Kościołem. Momentem tym jest społeczno-polityczne oblicze Kościoła. Po encyklikach *Rerum Novarum i Quadragesimo Anno*, Kościoła Katolickiego nie można już zaliczać do obozu reakcji społecznej; po encyklikach zaś przeciwko Hitleryzmowi nie można go posądzać o konszachty z Rasizmem. Ostre starcie Kościoła z doktryną totalną uwypukliło tę zapoznawaną często prawdę, że Kościół z istoty swojej jest instytucją, chronią-

---

Albert Lantoine. Lettre au Souverain Pontife. Paris, Editions du Symbolisme, 1937.

cą jednostkę przed pochłonięciem i zmiażdżeniem przez Państwo. Hitlerowskie hasło: „Ty jesteś niczem — Naród jest wszystkim" nie da się pogodzić z nauką Kościoła. Okoliczność tę podkreśla sam Lantoine, pisząc:

„...To tłumaczy również obecne stanowisko Kościoła wobec Hitleryzmu. Hitleryzm ten wydał się kościołowi okropny. Jako człowiek oburzyłeś się, Ojcze Święty, na postępowanie rządu, nie cofającego się przed zbrodnią dla zapewnienia trwałości swego panowania; jako Papież zaś czułeś obawę wobec tej świeckiej religii, również dogmatycznej jak Twoja, a która stanowiła dla niej groźną konkurencję. Pod tym względem zdobyłeś uznanie światłych republikanów, nawet wolnomyślicieli, gdy ze szlachetną odwagą powstałeś przeciwko „państwom totalnym". Przez czyn ten stałeś się obrońcą nietylko Wiary, lecz również i Myśli".

Wydaje się więc rzeczą całkiem możliwą, że wystąpienie Lantoine'a jest indywidualnym czynem człowieka, który z tytułu walorów swego umysłu dostrzegł pierwszy niebezpieczeństwo i uważa za swój obowiązek podnieść głos ostrzeżenia. Wydaje się również bardzo prawdopodobnym, iż książka ta jest przeznaczona nie tyle dla Papieża i obozu katolickiego, ile do użytku własnych „braci" w Zakonie. Dla szeregowych wolnomularzy bowiem, wychowanych w przeświadczeniu, że „Kościół — to wróg", podobne postawienie sprawy musiało się wydać czemś rewolucyjnym. Co innego bowiem wybitny intelekt, a co innego szeregowy wyznawca danej doktryny. Dla nich więc przeznaczony jest ów misterny łańcuch argumentów i subtelnych metafor.

Oswald Wirth w przedmowie do Listu zdaje się potwierdzać ten pogląd, pisząc:

„Wysuwając propozycję zawieszenia broni, powoduje się on (Autor) swoją własną inicjatywą, nie występując w charakterze przedstawiciela uznanych władz masońskich. Z faktu jednak, że wypowiada się on wyłącznie w swoim własnym imieniu, nie byłoby słusznym wnioskować, że głos jego nie wywoła oddźwięku w świecie wolnomularskim. Ja osobiście gotów jestem podzielić z nim odpowiedzialność, tak samo jek według moich wiadomości, skłonni są to uczynić liczni wolnomularze, i to nie najmniejsi.

Jeśli więc Albert Lantoine nie przemawia w imieniu władz masońskich, jest on jednak wykładnikiem poglądów elity intelektualnej Wolnomularstwa. Propozycja jego jest *przedwczesna*, jeśli chodzi o wrażliwe uczuciowe i *opanowane przez uprzedzenia masy*, jednakże światłe umysły, — niezależnie od tego, czy są wierzące czy nie, — przyznają że jest ona bardzo na czasie".

*

Albert Lantoine stawia sprawę jasno i otwarcie. „W ciągu wieków — pisze on — znajdowaliśmy się w walce ze sobą. Cesarstwa posługiwały się Kościołem, aby utrwalić swe panowanie, Kościół zaś nie protestował, gdyż cesarstwa te powoływały się na jego inwestyturę. Zdaję sobie dobrze sprawę, że to narodowe kościoły, jak naprz. gallikanizm, a nie Kościół Rzymski, popełniały najczęściej owe nadużycia, dzięki którym zostały skrwawione karty historii. Wiem również dobrze, że bez Filipa Hiszpańskiego i bez Izabeli Katolickiej Torquemada nie mógłby rozświetlić Madrytu płomieniami swych stosów; wiem również, że odwołanie Edyktu Nantejskiego nie uzyskało aprobaty Stolicy Apostolskiej. Lecz ponieważ ponad trony i króle nie dał się słyszeć głos Pierwiastka Duchowego, sprzymierzonego wówczas z Doczesnym, ponosi on nadal w pojęciu mas za to wszystko odpowiedzialność.

Wasi sekciarze spotęgowali jeszcze bardziej istniejące pomięszanie pojęć, a brzydota Tartuffe'a przesłoniła swym obrzydliwym cieniem piękno duszy świętego Franciszka"...

*

„Cośmy właściwie osiągnęli w tej zaciekłej wojnie, którąśmy ze sobą toczyli? Cośmy zdobyli? Chyba to tylko, żeśmy zostali pomniejszeni, i jedni i drudzy. Proszę posłuchać: niedawno wpadło mi w ręce dzieło M. Jacquine'a, p.t. „Nieco rozważań o naszych czasach". Uwagi te pochodzą z pod pióra nieuprzedzonego autora, który po opukaniu, że tak powiem, współczesnej duszy, zaleca najlepsze środki zaradcze. Tam to właśnie przeczytałem ze smutkiem te słowa: *„Ani loża, ani zakrystia"*.

Proszę się zastanowić and tym tragicznym zarzutem, który zawarty jest w tej radzie zrównoważonego umysłu. A więc wy — Kościół, wy, którzy stawiacie sobie za cel jedność duchową ludzi, i my — Wolnomularstwo, którego nauka oparta jest na pojęciu tolerancji; my i wy, którzy winniśmy być uważani za czynniki zgody i uspokojenia — my oto doszliśmy dziś do tego, że reprezentujemy brak umiaru i dwa bieguny fanatyzmu, do których lepiej jest nie dotykać w imię elementarnej mądrości!...

Maxima culpa, Ojcze święty, i *nostra culpa!*...

*

W rzeczy samej? Cośmy zyskali dzięki naszej niezgodzie?... Dziś, gdy jednakowo są podejrzane zarówno Religia, jak i Filozofia, materializm roztacza wkoło swe zmysłowe miraże. Jest to triumf empiryków, którzy leczą zło magicznymi zaklęciami słów. Zabobony, któreśmy jednakowo zniszczyć pragnęli, plenią się wśród umysłów, jak trujące grzyby na jałowym ugorze. Magia i czary zyskują poklask. Astrologowie otrząsają pył ze starych foliałów, aby ozłocić kłamstwem tęsknotę dusz. Zaklinacze nabijają kieszenie. Wszyscy ci tłumacze proroctw i przepowiedni stanowią sami zapowiedź świata, który idzie ku zgubie. Na przegniłym ciele dzisiejszego społeczeństwa mnoży się ta zgraja tak samo, jak według Juwenala pleniła się na rozkładzie Cesarkiego Rzymu"....

„Dlatego też pragnę, aby Wolnomularstwo nie wtrącało się do zamieszek Forum, lecz aby pozostało twierdzą czystej myśli, gdzie wybrani mogliby odnaleźć Słowo, zagubione w bagnach Beocji...

Oby to stanowisko stało się również twoim, o Kościele! I nie ułatwiaj dzieła wilkom pragnącym nas pożreć!...

Albowiem w dniu, w którym Hiram upadnie ponownie pod ciosami złych towarzyszy, wasz Chrystus będzie po raz wtóry wystawiony na zniewagi tłuszczy... I ta sama czeluść grobowa pochłonie na wieki szczątki naszej byłej świetności...

*

„Jest rzeczą całkiem możliwą, Ojcze święty, abyśmy się spotkali na drodze Sprawiedliwych. Wasza religia przynosi zbłąkanym duszom słodycz swoich pewników, i ja uważałbym siebie za istotę godną pogardy, gdybym niszczył w nich boską nadzieję. Wszyscy nosiciele światła mają prawo do jadnakowego szacunku. O tym właściwie należy pouczać waszą owczarnię, podobnie jak głoszę to stale wobec moich braci".

„Nie chodzi tu o uzgodniony zojusz, gdyż moglibyśmy nie być w zgodzie co do wyboru środków ataku lub obrony. .. Nie—pragnę tylko tego, abyśmy się przestali zwalczać zatrutym orężem, i żeby wreszcie ustaliło się między nami to, co w wiekach średnich Twoi poprzednicy nazywali Treuga Dei"...

*

Czy Treuga Dei pomiędzy Kościołem a Wolnomularstwem jest istotnie możliwa? Czy różnica założeń ideowych łącznie z niewątpliwą różnicą c e l ó w obu tych instytucyj nie okaże się silniejszą od momentu doraźnych korzyści taktycznych? Lantoine uważa, że Kościół i Masoneria nie powinny być w r o g a m i i nie powinni czynnie się zwalczać. Jednakże i on posiada wątpliwości co do walorów głoszonego porozumienia, gdy pisze:

„W obliczu zmartwychwstałego Instynktu, zwycięskiego w stosunku do naszej podwójnej misji apostolskiej; w obliczu tego zalewu pożądań materialnych, który chce przybić do krzyża nasze marzenia, czy powinniśmy — wy i my — p o z o s t a ć p r z e c i w n i k a m i?

Być może!

Być może... w głębi nas samych, gdyż wasz Bóg nie jest w stanie przebaczyć Pysznemu Aniołowi, Pyszny zaś Anioł nie ugnie się nigdy"....

Witold Ipohorski-Lenkiewicz.

Z prasy.

FRONT DEMOKRATYCZNY CZYLI KOBIETY I ŻYDZI.

Żydowski tygodnik sjonistyczny „Ster", wyprowadzając bilans ubiegłego roku żydowskiego, dochodzi do następujących wniosków:

„Rok miniony był dla nas nie tylko rokiem klęsk, ale i rokiem wielkich niebezpieczeństw. Panoszyła się, z niesłychanym tupetem i bezczelnością zorganizowana heca żywiołów nawpół politycznych nawpół kryminalnych z pod znaku O.N.R. Z drugiej strony deklarowano o konieczności „odżydzenia" życia gospodarczego Polski i o samoobronie kulturalnej przed Żydami. T. zw. ideologia narodowa zaczęła coraz bardziej dominować wśród licznych kół dawnego obozu sanacyjnego. Koła te podjęły *niebezpieczną inicjatywę konsolidacji nacjonalistycznej* (podkreślenie nasze).

W ostatnich tygodniach myśl zjednoczenia społeczeństwa polskiego pod hasłem walki z urojonym (a raczej dla tumanienia mas umyślnie skonstruowanym) straszydłem „żydokomuny" — ta spaczona konsolidacja, któraby rozwój Polski niewątpliwie cofnęła wstecz, napotyka na coraz to większe przeszkody i wydaje się chwilowo przynajmniej, należeć do rzędu pomysłów poronionych. Równocześnie zaczynają się budzić *siły demokracji polskiej* na wsi i w mieście".

Istnieje znana praktyczna wskazówka antyfeministów: gdy nie wiesz, jak masz postąpić, zapytaj o radę kobietę i uczyń wprost przeciwnie.

Podobną metodę można zastosować i do zagadnień politycznych, podstawiwszy tylko zamiast kobiet — Żydów. Jeśli więc Żydom nie podoba się idea Zjednoczenia Narodowego, to można być pewnym, iż jest to koncepcja zbawienia dla Polski. Jeśli zaś prasa żydowska aż cmoka z zachwytu nad „demokracją polską", „frontem demokratycznym" i t. p., to można nie wysilić się zbytnio, tylko tak na zwykły chłopski rozum: „Macieju! — A co? — A „na odwyrtkę" — rżnij!.."

Turystyka zagraniczna w gospodarce narodowej

Wszelki ruch turystyczny z zagranicy stanowi z punktu widzenia ekonomicznego *formę eksportu*. Jest to po prostu eksport z konsumcją na miejscu, który jednak dostarcza dewiz tak samo, jak każda inna forma sprzedaży towarów zagranicę. Umyślnie pominiemy tutaj dla uproszczenia rozumowania sprawę turystyki kompensacyjnej, którą stosują kraje posiadające ograniczenia dewizowe. Stanowi ona osobne zagadnienie, zaś ciekawszym może być rzucenie okiem na sprawy turystyki zagranicznej klasycznej, nie obstawionej żadnymi przepisami dewizowymi. Bądź co bądź największe rezerwuary potencjalnych turystów zagranicznych, jakiemi są kraje anglosaskie i skandynawskie, należą jeszcze do grupy państw nie ograniczających wywozu dewiz.

Parównanie turystyki zagranicznej z innymi rodzajami eksportu wskazuje nam bardzo wysokie miejsce jakie zajmuje ona w hierarchii eksportowej. Jak wiadomo, najmniej korzystnym dla gospodarki narodowej jest eksport surowców, lepszym jest eksport pół. fabrykatów, zaś najszlachetniejszym typem eksportu jest wywóz wyrobów gotowych i to o możliwie wysokiej wartości jednostkowej. Jednak nawet wywóz wyrobów gotowych do użycia odbywa się zawsze za pośrednictwem zagranicznego hurtownika, który zagarnia lwią część zysku. Wystarczy porównać bieżącą cenę bekonów na giełdzie londyńskiej z ceną, jaką za nie płaci w detalu angielska gospodyni, aby zdać sobie sprawę, jak wielkie znaczenie posiada ta okoliczność.

Idealną formą eksportu niektórych artykułów byłoby posiadanie zagranicą sieci sklepów detalicznych i zbieranie w ten sposób całkowitego zysku cyklu: producent-konsument, zamiast jego mniejszej części, jak to ma miejsce przy eksporcie hurtowym. Oczywiście, sprzedawanie swoich wyrobów zagranicą we własnych sklepach detalicznych przedstawia ogromne trudności techniczne i niewiele tylko krajów lub firm może sobie na nie pozwolić. Do tych wyjątków należy m. in. firma maszyn do szycia Singera, która sprzedaje swoje wyroby jedynie w własnych sklepach rozsianych po całym świecie, nie mając wcale pośredników. Wydaje się prawdopodobnem, że wspaniały rozwój tej firmy zawdzięczać należy przede wszystkim konsekwentnemu przeprowadzeniu tej zasady.

Istnieje jednak wiele towarów, dla których niepodobieństwem byłoby zakładanie zagranicą specjalnych własnych sklepów. Co za tym należałoby robić, aby móc sprzedać je z dobrym zyskiem? Odpowiedź jest prosta — skłonić klienta zagranicznego aby przyjechał i kupił je na miejscu. Cudzoziemiec będzie wprawdzie kupował towary względnie usługi detaliczne, rozkładając zysk na cały łańcuch pośredników, ale nie ma to znaczenia z punktu widzenia gospodarki narodowej, jeżeli wszyscy ci pośrednicy będą członkami narodowego systemu ekonomicznego. Z punktu widzenia ogólno państwowego podanie Anglikowi w polskim hotelu porcji boczku z jajami posiada wartość równą wywiezieniu około kilograma tegoż samego boczku i koło tuzina tych samych jaj do Anglii drogą normalnego handlu.

Przy stosowanych obecnie w Polsce przepisach dewizowych łatwo jest określić całkowitą wartość turystyki zagranicznej, która równa się różnicy między sumą pieniędzy wwiezionych do Polski i sumą pieniędzy wywiezionych przez cudzoziemców. Niepodobieństwem byłoby ułożyć dokładną listę przedmiotów i usług zakupionych przez cudzoziemców w Polsce, ale na podstawie powyższych uwag można z całą pewnością stwierdzić, że ilość godzin pracy potrzebnych dla uzyskania pewnej ilości dewiz, np. 1 £, drogą turystyki zagranicznej jest mniejsza, niż ilość godzin potrzebna dla zarobienia tej sumy innym rodzajem eksportu. Innymi słowy jest to *najwydatniejszy i najszlachetniejszy typ eksportu*.

Turystyka zagraniczna odznacza się tym również, że inwestycje jakich wymaga, posiadają wielostronne zastosowanie. Załóżmy, że eksport np. cukru jest równie wydajny, bowiem wiadomo, że właśnie cukier wywozimy prawie poniżej ceny kosztu, co jest zaprzeczeniem wydajności ekonomicznej. Gdyby jednak eksport cukru był tak samo wydajny jak turystyka, to pozostawałyby między nimi jeszcze jedna duża różnica: inwestycje cukrowe mogą mieć tylko jedno zastosowanie — produkcję cukru, podczas gdy inwestycje turystyczne mają zastosowania różnorodne. Odnosi się to naturalnie do każdego prawie innego przemysłu w przeciwstawieniu do przemysłu turystycznego.

Jeżeli zbudujemy wielką ilość cukrowni przeznaczonych dla produkcji eksportowej, to w razie załamania się rynków zagranicznych z jakiejkolwiek przyczyny, fabryki te będą stały zupełnie bezczynne, nie przynosząc żadnej zupełnie korzyści. Oczywiście dałoby się powiększyć spożycie wewnętrzne cukru, ale nigdy w granicach, które mogłyby pochłonąć cały nadmiar eksportowy. Tymczasem inwestycje turystyczne są przeważnie tego rodzaju, że w razie nagłego zatrzymania dopływu turystów zagranicznych z powodów politycznych lub innych, zawsze dadzą się pożytecznie wyzyskać. Hotele bowiem mogą być w ostateczności użyte jako zwykłe mieszkania, albo lokale biurowe ,względnie mogą być przerobione na szpitale, szkoły, itd. Wszelkie inne urządzenia kulturalne, sportowe i rozrywkowe zawsze są pożyteczne, nawet jeżeli nie korzystają z nich zagraniczni turyści. Jeżeli chodzi o drogi i inne urządzenia komunikacyjne, to jasnem jest, że jakkolwiek można je określić jako inwestycje turystyczne, bowiem konieczne są one dla rozwoju turystyki, mają one także cele ogólne i w żadnym wypadku nie może być mowy o tym, aby stały one bezczynne i nie wyzyskane. Ogólnie rzecz biorąc, każda bez wyjątku inwestycja podnosząca cywilizację i kulturę kraju jest inwestycją turystyczną, albowiem staje się nowym czynnikiem, ściągającym turystów z zagranicy. Każda inwestycja przeznaczona dla turystów zagranicznych staje się jednocześnie dobrodziejstwem dla mieszkańców kraju, którzy mogą z niej sami korzystać.

Okoliczność ta stanowi o pewnej wyższości inwestycji turystycznych nad niektórymi innymi, które niekiedy przez swoją jednostronność mogą posiadać elementy ryzyka. Wielka fabryka np. rękawiczek, nastawiona głównie na eksport, wzbogaca kraj tak długo, jak eksport ten trwa, lecz w razie jego przerwania użyteczność jej ogromnie spada, bowiem niepodobna jest odrazu podwoić krajowe zapotrzebowanie na rękawiczki. Natomiast np. uzdrowisko, obliczone na gości zagranicznych, może zawsze w braku ich pozyskać odpowiednio większą ilość gości krajowych, sprzedając towar którego nigdy nie może być za wiele — zdrowie. Naturalnie, absurdalnym byłoby twierdzenie, że eksport turystyczny powinien zastąpić wszelkie inne formy eksportu, — lecz ważnym jest zdać sobie sprawę z jego cech charakterystycznych, celem wyzyskania ich z największą korzyścią dla kraju.

Poza zaletami natury czysto ekonomicznej, turystyka zagraniczna posiada dla kraju docelowego ważne zalety natury politycznej i ogólnej. Turystyka posiada podwójne znaczenie propagandowe: po pierwsze — propaganda turystyki danego kraju jest zawsze jednocześnie propagandą ogólną, posiadającą pewne znaczenie polityczne. Jeżeli zagranica jest przekonana, że jakiś kraj jest malowniczy ,że ludność jego jest sympatyczna, uprzejma i artystycznie uzdolniona, że zabytki jego odzwierciedlają głęboką kulturę, że w kraju panuje spokój i porządek, że pobyt w nim jest przyjemnością — to efekt takiej propagandy turystycznej jest podwójny: skłania ona turystów do odwiedzania danego kraju, a jednocześnie wytwarza nastój przychylny dla danego narodu i państwa.

Natomiast wiele innych dziedzin eksportu nie ma żadnego znaczenia propagandowego. Mało kto interesuje się tem, skąd pochodzi węgiel jakim pali w piecu, albo drzewo z jakiego zrobiona jest podłoga, drzwi i okna. Natomiast konsument eksportu turystycznego, czyli poprostu turysta zwiedzający jakiś kraj, zmuszony jest poprostu zapoznać się z nim i naogół biorąc wynosi uczucie sympatii — chyba że spotkał się z wyjątkowo złym przyjęciem. Kto wie, czy jedną z podstaw neutralności Szwajcarii nie jest fakt, iż kraj ten każdy kulturalny Europejczyk zna prawie w całości. Myśl najazdu i zniszczenia w odniesieniu do kraju, który się wie-

lokrotnie zwiedzało, ma zupełnie inne zabarwienie uczuciowe, niż w stosunku do kraju całkowicie obcego. Zjawisko to tłumaczy nam, dlaczego wiadomość o najstraszliwszych kataklizmach w Chinach lub Japonii bywa przyjmowana dość obojętnie, podczas gdy dziesięć razy mniejsza katastrofa dotycząca Paryża lub Wiednia wywołałaby znacznie większe wrażenie.

Turystyka jest niewątpliwie potężnym czynikiem zbliżenia międzynarodowego, przyczym największą korzyść pod tym względem odnoszą kraje docelowe, pomijając nawet moment ekonomiczny. Doskonałym przykładem może być polityka Węgier na terenie Anglii. Węgry prowadzą jednocześnie propagandę turystyczną i propagandę rewizjonistyczną, które się nawzajem dopełniają i wspomagają. Każdy Anglik, który zwiedzi Węgry dzięki propagandzie turystycznej, wyjeżdża przeświadczony o niesprawiedliwości traktatu w Trianon, każdy zaś, kto da się przekonać Węgrom o jego niesprawiedliwości, śpieszy zobaczyć ten kraj na własne oczy.

* * *

Po zapoznaniu się w sposób pobieżny z niektórymi z cech, które odróżniają turystykę od innych form eksportu, uzasadnioną jest chęć dowiedzenia się o staraniach jakie się robi dla rozwinięcia tego przemysłu. Ale tutaj spotyka nas pewien zawód. Wolno było bowiem spodziewać się, że rząd premiuje tę najszlachetniejszą formę eksportu, tak jak to robi w stosunku do bardzo wielu innych jego rodzajów. Może stosuje się specjalnie zniżone ceny? — wszak większa część naszego eksportu idzie zagranicę po cenach znacznie niższych od krajowych.

W rzeczywistości jednak dzieje się zupełnie co innego. Turystyka zagraniczna nie tylko nie jest premiowana, ale jest nawet obciążona wyjątkowo wysokimi podatkami i obstawiona utrudnieniami, wśród których warto wymienić przede wszystkim rygorystyczne przepisy wizowe i meldunkowe. Polska pozostaje do dziś dnia jednym z bardzo nielicznych krajów Europy, który wymaga wiz od obywateli wszystkich innych krajów, narażając jednocześnie własnych obywateli na płacenie haraczu wizowego przy każdym wyjeździe zagranicę. Bilans wizowy jest niewątpliwie dla Polski niekorzystny, bowiem dotychczas więcej Polaków wyjeżdża zagranicę, niż cudzoziemców przyjeżdża do Polski.

Do niedawna jeszcze turystyka samochodowa z zagranicy do Polski była prawie niemożliwa, dzięki surowym przepisom, nie mówiąc już o stanie dróg. Ostatnio przepisy dotyczące turystyki samochodowej zostały zmodyfikowane, zaś stan dróg poprawia się wyraźnie, choć jeszcze nie dość szybko. Poza tym z zadowoleniem należy powitać wprowadzenie specjalnych tanich biletów okrężnych dla turystów zagranicznych. Wszystko to są jednak dopiero nieśmiałe kroki w kierunku pełnego wyzyskania wszystkich możliwości kraju w tej dziedzinie, które są bardzo poważne. Czekamy wciąż jeszcze na wielką, systematyczną, skoordynowaną akcję, która polegać powinna na jednoczesnym prowadzeniu propagandy i akwizycji zagranicą i przygotowaniu terenu na przyjęcie gości, których umiejętna propaganda niezawodnie potrafiła by ściągnąć do Polski. Akcja tego rodzaju winna być prowadzona w skali ogólno państwowej, a nie jako sprawa dotycząca wyłącznie kolei lub biur podróży, które jak wiadomo ciągną z turystów mniejsze zyski, niż szereg innych dziedzin gospodarki narodowej.

Kierunek akcji i jej wykonanie powinny spoczywać w jednych rękach i opierać się na technice handlowej raczej niż biurokratycznej. Pomoc i poparcie rządu są konieczne, lecz jest w turystyce coś co wymaga podejścia indywidualnego, giętkiej organizacji i tych wszystkich cech, których żaden urząd w żadnym kraju posiadać nie może. W kraju o silnym kapitale prywatnym byłoby to dzieło dla jakiegoś Forda turystyki, króla hoteli, który potrafiłby swoją twórczą energią wykorzystać wszystkie bogactwa jakie w tej dziedzinie posiadamy,oraz ściągnąć do nas złotodajny prąd ludzi funtów i dolarów.

Wobec braku tego rodzaju warunków, najbardziej powołanym do spełnienia tego zadania wydaje się być narodowe biuro podróży, działające nie tyle dla zysku, ile w interesie ogólnym, ale metodami handlowymi, jako bardziej racjonalnymi i wydajnymi od metod administracyjnych.

Tadeusz Lutosławski

Z wędrówek wakacyjnych

W PAŃSTWIE IL DUCE

Skwarne popołudnie. Grzmią koła pociągu, wagon zatacza się, chwieje, kołysze jak pijany. Zbliżamy się do pierwszej stacji włoskiej na pograniczu Austrii i Italii — Tarviso. Jestem ciekaw Italii, jak wygląda za rządów Mussoliniego. Pierwsze wrażenie — to już przecież bardzo wiele. Wreszcie zbliżamy się. Pociąg zajeżdża do stacyjki skromnej, ale bardzo czystej i przyozdobionej kwiatami i palmowymi drzewami. Na peronie uwijają się liczni strażnicy celni oraz czarno ubrana milicja faszystowska. W oknach pociągu tłok: kto tylko może docisnąć się do okna — przygląda się i robi głośno uwagi. Gwar różnojęzycznych głosów. — „Nie wychodzić!" — krzyczą policjanci. Zatrzaskują tu i ówdzie uchylone drzwi wagonów i przygotowują pociąg do rewizji celnej.

Rzeczywiście — po kilku minutach wchodzi do pociągu kilku członków straży granicznej i policji faszytowskiej. Jeden z nich wyjątkowo poważnie i surowo przepytuje podróżnych, zagląda do kątów wagonu. Widać, że jest przejęty swoją funkcją, a na młodej twarzy rysuje się wyraźnie lekceważenie. Rychło jednak zmienił się udany, jak okazało, nastrój powagi panów kontrolerów. Gdy przeszli przez ostatni wagon i znaleźli się na ziemi, pofolgowali wrodzonej Włochom wesołości.

Najpoważniej zachowujący się dotychczas urzędnik wyrżnął w głowę swego kolegę, aż czapka mu z głowy spadła. Rozległ się ryk śmiechu pozostałych, poszły wzajemne szturchańce, popychanie się, dowcipy. Inni jak gdyby ludzie szli po peronie. Śledziły ich zdziwione oczy pasażerów...

* * *

Wenecja. Wracamy „vaporetto" do hotelu. Kłębią się wody Wielkiego Kanału, uderzając w marmurowe schody pałaców, kołysząc z rozmachem uwiązane przy kolorowych słupkach czarne gondole. Ruch duży, bo to niedziela, a wieczorem mają odbyć się uroczystości ludowe. Mijamy kościół Santa Maria della Salute i stajemy na przystanku. Część podróżnych wychodzi, nowa porcja napływa.

Naraz powstał na stateczku dziwny ruch. Prężą się piersi wojskowych, którzy stają na baczność, a ręce podnoszą do góry. Wszystkie niemal głowy zwracają się z zaciekawieniem ku wejściu, w którym ukazuje się postać jakiegoś wyższego wojskowego, ubranego w mundur faszystowski z monoklem w oku. Nie odpowiadając na ukłony, jakby nikogo nie zauważył, sprężystym krokiem podchodzi do ławki, siada i wyjmuje cygaro. — Kto to jest? — z zaciekawieniem zapytuje moja sąsiadka. — Ach, ten monokl w oku! — zaintrygowana wykrzykuje druga. — Wiecie co, — zwraca się do nas trzeci mój towarzysz podróży — zrobię z głupia frant wywiad i zapytam się go, co on za jeden. I przyprowadzę go wam tutaj! — A że studentów nigdy humor nie opuszcza bo nie wiele mają do stracenia, „śmiałek" poprawił tylko beret na głowie i ruszył do Włocha. — Przepraszam pana, — zwrócił się do niego po niemiecku — czy mogę zapytać, jaką pan ma szarżę? Ja jestem wielkim przyjacielem Italii i wojska włoskiego, lecz nie mogę się zupełnie „połapać" w szarżach.

Faszysta początkowo spojrzał zdziwiony, lecz następnie uśmiechnął się i wymienił swą istotnie wysoką godność w Lombardii. Dalej już poszło wszystko gładko. Dygnitarz się rozkrochmalił i rozgadał, podszedł do naszego grona, przedstawił się, a nawet pozwolił zrobić zdjęcie. Włosi z podziwem patrzyli na naszą grupkę. Co jednak było najciekawsze z rozmowy, którą prowadziliśmy z „il duce na Lombardię", to wyrazy wielkiej sympatii dla Polski, dokładna znajomość naszego kraju i stosunków u nas panujących. — Włosi są przyjaciółmi Polaków — mówił na pożegnanie. Rozstaliśmy się istotnie, jak przyjaciele.

* * *

Rzym. Na Forum Romanum morze głów. W roziskrzonym słońcu duma wyniośle łuk Septyma Sewera, bielą się smętnie kolumny świątyni Saturna, zdziwionym okiem czeluści spogląda na tłum reszta rumowisk.

Na wzniesieniu usadowiła się orkiestra. Za chwilę zacznie się koncert publiczny. Część publiczności wygodnie siedzi, część stoi z boku i za ławkami. We wrzawie głosów można łatwo wyróżnić mowę „forestierów" (cudzoziemców), których w tej porze jest zawsze pełno w Rzymie, jak i w całej Italii. Naraz rozległ się gong. Tłum milknie w jednej chwili i zaczyna się koncert.

Wiemy z radia, słuchając Mediolanu, jak zgrana jest orkiestra włoska, ile harmonii i wyczucia, nie mówiąc o technice, jest w muzyce włoskiej. Wszyscy też są zasłuchani i oczarowani. Nagle powstał ledwie dostrzegalny ruch. Do piętnastego coś z brzegu rzędu ławek podeszło kilku wojskowych i usiadło na skraju. Spojrzałem: Mussolini...

Dyktator Włoch oparł swobodnie łokcie na poręczach stojącej przed nim ławki, przysunął ręce do twarzy i w skupieniu słuchał. Zdawało się, że oczy il Duce przysłoniła jakaś mgła. Energiczny podbródek jak gdyby zginął. Stał się uosobieniem artystycznego przejęcia, lub prawie —

ekstazy. Wreszcie orkiestra skończyła, a z jej ostatnim tonem nowym akordem zagrzmiało Forum. Rozlega się rumor przesuwanych ławek, publiczność powstaje, jak gdyby ruszona sprężyną, i oto uderza w błękitne niebo huk zmieszanych głosów: „Evviva! Evviva Il Duce!" Entuzjazm ogarnął tłum. Brzmi hymn faszystowski: „Giovinezza, giovinezza, prima vera di bellezza!" — Po czym znów wszyscy spokojnie siadają i dalej słuchają koncertu...

Il Duce w dalszym ciągu w zadumie przysłuchiwał się muzyce. Siedział tylko już wyprostowany i z lekkim grymasem na zaciętych ustach...

* * *

Castel Gandolfo. Papież choruje, papież czuje się źle. Takie wieści się rozchodziły, gdy rozpoczęliśmy staranie o audiencję. Wreszcie przyszło upragnione zawiadomienie z polskiej placówki dyplomatycznej. Będziemy przyjęci przez Papieża wtedy a wtedy, ale w letniej rezydencji Ojca św. — w Castel Gandolfo.

Jedziemy. Panowie ubrani na ciemno, panie z woalami na głowie. Mknie auto smętną równiną Kampanii. Lekko falista jej powierzchnia raz po raz ukazuje naszym oczom ruiny zamków, akweduktów itp. Ciemny strój i ten smutek, bijący z równiny, nastraja i nas na ton żałobny. A tu jakby dla kontrastu słońce mocno praży, dzwonią dzwonki wolno posuwających się dwukołowych wozów. Natura tchnie dziwnym lenistwem i apatią...

Wreszcie jesteśmy na miejscu. Tłumy czekają na przyjęcie — w tym masa duchowieństwa. Mieszają się języki z całego świata. Tych, którzy mają być przyjęci, prowadzi straż papieska, ubrana w jaskrawe pasiaste czarno - czerwono - żółte stroje, na podwórzec zamkowy, a następnie do obszernych komnat papieskich. Dopchaliśmy się do sali audiencjonalnej. Głowa przy głowie. Na samym przodzie młode małżeństwo. Czekamy w skupieniu. Wreszcie otwierają się drzwi, przez które wchodzi jeden i drugi oficer gwardii „szwajcarskiej", kardynałowie, wreszcie w lektyce wnoszą Papieża. Blada twarz Ojca św. uśmiechła się. Rozlegają się huraganowe oklaski i okrzyki: Niech żyje Papież!

Długo mówi Ojciec św. o ważności małżeństwa, o pokoju i o miłości chrześcijańskiej. Dla każdego katolickiego narodu znalazł dużo słów ciepłych i miłych. Nie zapomniał i o Polsce. Mówił o roli naszego narodu na wschodzie Europy w roku 1920, o Kongresie Eucharystycznym w Poznaniu. Życzył narodowi polskiemu wiele szczęścia i pomyślności. Na zakończenie audiencji — błogosławieństwo i ten sam ciepły uśmiech na twarzy...

* * *

Neapol. Krzyk, hałas, pisk rozlega się na około. Podróżnego otaczają jak muchy natrętni liczni sprzedawcy kart, widokówek, korali i innych drobiazgów i żebrzą, ażeby coś kupić. Nie ma jednak w samym Neapolu nic do roboty. Ze zdumieniem przypominam sobie przysłowie: Vedi Napoli e poi muori (zobacz Neapol, a potem umieraj). Co, w tych brudnych uliczkach mają się mieścić owe cuda neapolitańskie?!... Nie możliwe! Wybieram się wreszcie poza granice miasta i tu dopiero oceniam słuszność sławy o piękności Neapolu.

Najpiękniejszy widok na miasto roztacza się z Wezuwiusza. Rozpostarło się ono amfiteatralnie nad zatoką neapolitańską, pełną błękitu i słońca. Wśród soczystej zieleni, grając bielą swych domów i willi, stacza się łagodnie ku lazurowemu morzu. Jeszcze piękniejsze są jego okolice: Capri, Sorrento, San Martino, Wezuwiusz.

Już następnego dnia po przybyciu byliśmy u podnóża Wezuwiusza, czekając na kolejkę zębatą, która nas miała zawieźć na szczyt góry. Otacza nas gromadka obdartych dzieci. Jedno chwyta za buty, drugie za nogawki i zawzięcie szorują, nie pytając się o pozwolenie. Następnie wyciągają ręce i natarczywie wołają: — Uno liro, signore! Uno liro! — Jak widać, wysiłki Il Duce, aby usunąć żebractwo, tak typowe dla Włoch, nie osiągnęły jeszcze pełnych rezultatów. Trzeba jednak przyznać, że w większych miastach już się go nie spotyka.

* * *

Pompea. Kroczymy po wymarłych ulicach miasta. Oglądamy domy, sklepy, świątynie, amfiteatr. Przeciskamy się przez wąskie uliczki miasta, słuchając monotonnego głosu guido (przewodnika). Jest nas gromada różnojęzyczna, bo nie tylko nie brak wśród nas Anglików i Amerykanów, ale znajdują się także egzotyczni goście z Azji. Kroczę obok jakiegoś Włocha z Genui. Młody, z zawodu nauczyciel. Twarz płomienna, natchniona. Nawet smutek, bijący z zastygłych murów miasta, nie zdołał wpłynąć na potok jego gorącej wymowy. — Ta przeszłość — mówi mi, — której zdjęto czarne wieko trumny, wskazuje dokładnie czym był nasz wielki naród przed blisko dwoma tysiącami lat! Teraz, pod wodzą Il Duce, nadchodzi nowy etap naszego życia. Wznawiamy dawne cesarstwo rzymskie. Okryjemy je chwałą Cezarów, Pompeuszów, Trajanów!...

Gdy po powrocie z wycieczki znalazłem się w hotelu, ciągle mi dźwięczał w uszach natchniony głos młodego faszysty. Pomyślałem wówczas o dalekiej Ojczyźnie, która została hen na północy... I raptem, sam nie wiem dlaczego, zrobiło mi się smutno. Przez jakąś dziwną asocjację pojęć pozazdrościłem memu towarzyszowi jego gorącej wiary i entuzjazmu...

Kazimierz Dragowski.

TYLKO 25 LAT...

Co kraj to obyczaj. W Polsce, naogół biorąc, „szczenięce lata" trwają conajmniej do 25 roku życia. Ludzie często studia przeciągają nawet dłużej i prawie do trzydziestki uważani są za bardzo jeszcze niedoświadczonych i niedopieczonych. Co więcej i co gorzej — najczęściej sąd ten bywa zupełnie słuszny.

Jakże inaczej wygląda życie młodego Anglika, przedstawione w autobiografii człowieka 25-letniego, napisanej przez Beverley Nichols'a. Oczywiście autor tej oryginalnej autobiografii nie jest człowiekiem przeciętnym — inaczej bowiem nie byłby jej napisał. Jednak wspomnienia młodości pisane nie przez starca patrzącego na nie z perspektywy pół wieku, lecz przez człowieka stojącego zaledwie w pierwszej połowie życia, mają swoją specjalną wymowę i rzucają interesujące światło na całe pokolenie. Dla czytelnika polskiego jest rzeczą szczególnie ciekawą zapoznać się z tą książką, ażeby wyprowadzić stąd pouczające wnioski o różnicy stylów życia na równinie mazowieckiej i pod mglistym niebem Metropolii Imperium.

Beverley Nichols zaczyna swoje opowiadanie w momencie gdy miał lat 19,nie rozwodząc się niepotrzebnie nad dzieciństwem i różnymi z nim związanymi historyjkami, które dla młodego człowieka są nudne i nieraz niemiłe, a dopiero dla starego stają się rozczulające. Oszczędza on też czytelnikowi opisów głębokich przeżyć duchowych i unika wstrząsającej introspektacji, którą napewno nie omieszkałby okrasić takiej książki Słowianin. Nichols pisze tylko o rzeczach widzianych, a własna jego indywidualność przejawia się nie w enuncjacjach, a w całym sposobie podejścia do tematu i ujęcia poszczególnych wspomnień. Jest to typowo angielska metoda, polegająca na operowaniu raczej faktami niż deklaracjami. Zamiast np. pisać „od wczesnej młodości odznaczałem się wybitną inteligencją" autor opisuje jakieś wydarzenie w sposób, który czytelnika doprowadza do tej samej konkluzji. Jeżeli czytelnik potrzebuje wbijania mu w głowę tego rodzaju rzeczy i nie potrafi wyciągnąć własnych wniosków z pewnych wskazówek, — tem gorzej dla niego.

Dziewiętnastoletni Beverley Nichols został wysłany do Ameryki jako członek misji delegowanej przez uniwersytety Angli do Stanów Zjednoczonych dla celów propagandowych. Było to w ostatnich miesiącach wojny. Misja uniwersytecka nawiązała kontakt ze sferami naukowymi i politycznymi Ameryki, które przyjmowały ją z entuzjazmem. Podróż ta, pełna spotkań z wybitnymi ludźmi i usłana fantastycznymi przygodami, była niewątpliwie świetnym wprowadzeniem młodego człowieka do życia. Niektórzy ojcowie w Anglii dziś jeszcze uważają, że przed zaczęciem studiów potrzebna jest chłopcu podróż naokoło świata, najlepiej z małym zapasem pieniędzy, jako podkład pod dalsze wykształcenie.

Beverley Nichols nauczył się wiele w ciągu swojej podróży po Ameryce. Zrobił on między innymi jedno ciekawe spostrzeżenie: że słynna wulgarność amerykańska pozostaje w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do bogactwa. Naogół panuje przekonanie odwrotne, a mianowicie mówi się o ordynarnych amerykańskich bogaczach, — lecz Nichols zauważył, że najbardziej wulgarni i snobistyczni są nie ludzie bogaci, lecz ci, którzy koniecznie chcieliby za takich uchodzić. Prawdziwi milionerzy, jak naprzykład J. P. Morgan, są jego zdaniem przeciwieństwem wszystkich tych cech, zwykle przypisywanych Amerykanom.

Po podróży przyszedł Oxford. W opisie jego odczuwa się głębokie przywiązanie do tego centrum, symbolizującego sobą całą wielką kulturę i cały światopogląd. W okresie gdy Beverley Nichols studiował w Oxford, jak zresztą prawie w każdym innym, uniwersytet ten skupiał wszystkie naświetniejsze umysły Anglii, skupiał młodych ludzi z góry przeznaczonych swymi zdolnościami do zajęcia najwyższych stanowisk w życiu politycznym i kulturalnym imperium. W atmosferze typowo oksfordzkiego wyrafinowania umysłowego i wykwintnej dialektyki ścierały się poglądy i indywidualności, kształtując się nawzajem i doskonaląc. Dla Beverley Nichols'a, który miał wówczas lat 19 i wiele zainteresowań lite-

rackich, najciekawszym było towarzystwo poetów. A żyli wówczas jednocześnie w Oxford W. B. Yeats, John Masefield, i Robert Bridges. Towarzystwo takie mogło wzbudzić najwyższe ambicje i wpłynąć na najbardziej nawet samodzielny talent. Wśród młodszych poetów, kolegów B. N., byli tacy jak Aldous Huxley, Robert Nichols i Robert Graves, a także Leslie Hore Belisha, — wspaniały mówca i umysł olśniewająco bystry, choć może nie głęboki, — obecny minister komunikacji. Błyskotliwa i jednocześnie przenikliwa inteligencja braci Sitwell była wówczas jedną z sensacji Oxfordu. Osbert, Sacheverell i siostra ich Edith zajęli wszyscy wybitne miejsca w literaturze angielskiej już w bardzo wczesnej młodości. Jednocześnie bracia Sitwell odznaczali się wielkim dowcipem i zamiłowaniem do studenckich żartów, które czasami bywały obmyślane z genialną wprost pomysłowością, będąc nieraz skierowane przeciwko bardzo wybitnym osobom. Pewnego razu Lady C. zaprosiła Osberta Sitwell'a na obiad, posyłając mu zaproszenie tego samego dnia. Obrażony takim lekceważeniem Osbert zaprosił ją przez telefon „na wczorajszy lunch", uważając, że był to jedyny sposób, w jaki mógł przelicytować jej opóźnienie w zaproszeniu.

G. K. Chesterton przyjeżdżał czasami do Oksfordu i brał udział w dyskusjach, wypełniając je swoją niesłychanie bogatą indywidualnością, zawsze gotów do fantastycznych dygresji i sypiący paradoksami zmieszanymi z olbrzymią erudycją. Lady Asquith wraz z swym mężem, ex-premierem Wielkiej Brytanii i jednym z wodzów liberalizmu, mieszkali niedaleko Oksfordu i również nieraz bywali tam widywani. Osoba Lady Oxford i Asquith, wspaniale odzwierciedlona w jej autobiografii, jednej z największych sensacji literackich Anglii od początku stulecia, jest zbyt oryginalna i bogata abym starał się ją opisać. W każdym razie obecność Margot Asquith musiała ożywiać każde zebranie na którym była ona obecna, elektryzować je nawet pewnym duchem szczerości i odwagi.

* *
*

Życie Oksfordu koncentruje się, jak wiadomo, w colleges. Są to wspaniałe średniowieczne budynki, stanowiące siedziby rodzaju korporacji, czy też cechów studenckich, które posiadają swoją wyraźnie zarysowaną indywidualność. Beverley Nichols był członkiem Balliol College, jednego z najstarszych i najwytworniejszych w Oxfordzie. Przy tej sposobności warto wspomnieć, że właśnie w Balliol w Oxfordzie powstał niedawno klub polsko-angielski, — przyczem jedynym przedstawicielem Rzeczypospolitej w Balliol był w owej chwili.... p. Rabinowicz z Łodzi.

Czynnikiem łączącym wszystkie colleges i stanowiącym jakby reprezentację całego Oxford jest Oxford Union Society,—towarzystwo którego główną funkcją jest urządzenie publicznych dyskusji. Stoją one na bardzo wysokim poziomie i wielkim zaszczytem dla każdego polityka lub ministra jest zaproszenie do wygłoszenia mowy w Oxford Union. Ale też mowę taką trzeba dobrze przygotować, bo nie ma chyba na świecie bardziej wybrednej i krytycznej publiczności jak zgromadzenie Oxford Union Society, gdzie wymagany jest nie tylko autorytet, ale i dowcip, krasomówstwo, zręczność repliki i dyskusji, wytworność obejścia i wiele innych trudniejszych do zdefiniowania rzeczy. Godność prezesa Oxford Union, wybieranego co roku, jest wysoko ceniona. Wiadomem jest zgóry, że człowiek wybrany na prezesa Oxford Union ma przed sobą wielką karierę, bo wybiera się tylko ludzi o nieprzeciętnych zdolnościach. Byli w swoim czasie prezesami Gladstone, Salisbury, Asquith, Birkenhead, nie licząc tuzinów ministrów, ambasadorów itd. Już w drugim roku swego pobytu w Oxfordzie Beverley Nichols został wybrany prezesem. Coprawda w tym wypadku nie wybrał on kariery politycznej, lecz został dziennikarzem i komediopisarzem, uważając widocznie, że sztuka bardziej odpowiada jego rodzajowi inteligencji, będąc jednocześnie bardzo popłatnym zajęciem — w Londynie.

Jako prezes Union Society, Beverley Nichols spotykał wielu mężów stanu i poznał prawie wszystkich współczesnych sobie wielkich ludzi. Między ciekawszymi wizytami opisuje przyjazd Winston Churchill'a, człowieka który w chwili wybuchu wojny wydał na własną odpowiedzialność rozkazy flocie brytyjskiej i uratował ją w ten sposób od zagłady. Potężny umysł i wspaniały charakter, prawdziwy mąż stanu, oto jak przedstawił się Winston Churchill nawet zblazowanym trochę i złośliwym w swoich krytykach Oksfordczykom. Nichols zdążył w międzyczasie napisać powieść i rozmowa jego z „mózgiem wielkiej floty" toczyła się głównie na tematy literackie.

Niezwykle interesującą była również wizyta Horatio Bottomley, polityka, który wyszedł z niższych warstw społeczeństwa i doszedł do wysokiego stanowiska przed swoim upadkiem. Jego wulgarność mogła pogrążyć go zupełnie w Union Society, gdzie panuje przeczulenie na punkcie tego co pasuje do gentleman'a lub co do niego nie pasuje. Każdy odcień głosu, każda aluzja świadcząca o braku wychowania, każdy najmniejszy faux pas byłby odrazu zauważony przez młodych ludzi, dla których akcent Oxfordzki i sposób bycia nabyty w arystokratycznych szkołach Eton, Harrow lub Winchester stanowią o istnieniu lub nieistnieniu człowieka. Ale przebiegły Horatio Bottomley, który potrafił sprytem i zdolnościami wydźwignąć się z bagna Whitechapel na trybunę Westminster, odparował cios jeszcze zanim został on zadany. Powiedział: „Gentlemani! Nie było mi danem korzystać z waszych przywilejów. Wychowany byłem w uniwersytecie Życia". Od tej chwili nikt nie mógł nawet uśmiechnąć się z jego niektórych wulgarności, bo nie pisany kodeks gentleman'a nie pozwala korzystać z słabości, do której ktoś się dobrowolnie przyznał. Gdyby Horatio starał się udawać kogoś kim nie był, Oxford Union zalałaby go jadem swojej wykwintnej ironii i delikatnego sarkazmu. Ale gdy przedstawił się odrazu jako prosty człowiek, musiał zyskać szacunek i posłuch. Wspaniały mówca porwał słuchaczy, — ale nie do tego stopnia aby zapomnieli, że jednak nie jest to gentleman.

Beverley Nichols pomija milczeniem swoje przeżycia miłosne, choć daje do zrozumienia że mu ich nie brakło. Natomiast bez końca ciągnie się galeria nieprzeciętnych ludzi z którymi się spotykał, przyczem spotkania te nie były przez młodego człowieka marnowane, jak widać z doskonałych charakterystyk wybitnych ludzi jakie kreśli on na każdej prawie stronie swego pamiętnika. Mrs. Patrick Cambell, Bernard Shaw, Lady Russel (znana w literaturze jako autorka „Elizabeth and her German Garden") i wiele innych ciekawych postaci przewija się przez jego opowiadanie. Z każdym z tych ludzi młody Nichols prowadził długie rozmowy i jego inteligencja bywała zdaje się nie mniejszą atrakcją dla starszych znakomitości niż ich sława dla niego.

* *
*

Mając 21 lat B. N. otrzymał propozycję pojechania do Grecji celem napisania książki rehabilitującej w oczach Anglików króla Konstantyna, celem uzyskania uznania go przez W. Brytanię. Młody Anglik był przyjmowany na Bałkanach z nieco przesadną atencją, z jaką spotkałby się zapewne i w Polsce, gdyby do niej w owym czasie przyjechał. W każdym razie z natury jego zadania wynikało bliskie poznanie rodziny królewskiej greckiej, z którą wkrótce bardzo się zaprzyjaźnił. Sytuacja monarchii była w tedy w Grecji bardzo słaba, jak to potwierdziły późniejsze wypadki, ale dla młodego literata z Balliol poznanie dworu bałkańskiego wraz z wszystkimi jego intrygami i całym oryginalnym urokiem było bardzo ciekawym. Przy tej okazji dowiadujemy się o roli jaką odegrał w czasie wojny inny znany pisarz angielski, Compton Mackenzie, który został mianowany szefem policji aljanckiej w Atenach i prowadził na własną rękę politykę hellenistyczną, walcząc z królem Konstantynem i dokonywując szeregu niewiarogodnych eskapad. Między innymi wymyślił on dla swojej policji i dla samego siebie bardzo oryginalny i kolorowy mundur oparty na wzorach średniowiecznych i nawet starożytnych. Intermezzo bałkańskie, pełne politycznych kombinacji, szpiegostwa i różnych dziwnych awantur, skończyło się jednak i Beverley Nichols powrócił do Londynu, gdzie został dziennikarzem.

Rolą, jaka mu przypadła, było zdobywanie wywiadów od wybitnych osobistości. Widocznie uważano, że znając ich już tyle, łatwiej da sobie radę z tego rodzaju pracą. Wywiady polegały zwykle na przyjaznej rozmowie z osobą której interview miał ozdobić pismo dla którego B.N. pracował, na tematy nie mające nic wspólnego z zamierzonym wywiadem. Potem wymyślał on coś odpowiedniego i wszyscy, wraz z zainteresowaną osobą byli zupełnie zado-

woleni. William Orpen, wielki malarz; Elinor Glyn, niezmiernie popularna pisarka; Georges Carpentier, mistrz boksu, znani zbrodniarze i wielcy artyści, — bardzo szeroką była skala osób poznawanych przez Beverley Nichols'a z okazji jego pracy dziennikarskiej.

Jednym z ciekawszych ludzi spotkanych przez niego w owym czasie był H. L. Mencken, uważany za jeden z najwybitniejszych umysłów w Ameryce, znany głównie z swojej bezlitosnej krytyki tego kraju i jego kultury, a raczej jej braku. Rudolf Valentino, Oliver Baldwin Kipling i sir Thomas Lipton wzbogacili także niemało ver Baldwin, Rudyard Kipling i sir Thomas Lipton wzbogacili także niemało ludzką kolekcję Nicholsa. Oliver Baldwin, syn premiera, jest wrogiem konserwatyzmu i przedstawicielem ruchu rewolucyjnego, ale w specjalnym sensie—duchowym raczej niż politycznym. W każdym razie walczył on jako oficer irlandzkiej gwardii w czasie wojny, zaraz zaś potem wyruszył do Rosji, aby walczyć z bolszewikami na własną rękę. Skazany na śmierć przez bolszewików uciekł i wstąpił do armii gruzińskiej, stając wkońcu na jej czele pod przybranym nazwiskiem i staczając homeryckie boje z bolszewikami na Kaukazie. Awanturnik na wielką skalę i w wielkim stylu, bezinteresowny i gotów na każde nawet najbardziej szaleńcze przedsięwzięcie, — oto syn statecznego Stanley'a Baldwina. Ojciec i syn reprezentują sobą cały naród — odwagę i ryzykancki romantyzm, które zdobyły wielkie Imperium i głęboką mądrość polityczną, która Imperium to do dzisiejszego dnia utrzymała.

Thomas Lipton był znów przykładem angielskiego geniusza handlowego. Z chłopca do posyłek stał się on multimilionerem i zasłynął między innymi jako właściciel szeregu jachtów, które starały się napróżno wydrzeć Ameryce puhar zwany America Cup. Przez wiele lat Tomasz Lipton, który zaczął swoją karjerę na pensji dwóch szylingów tygodniowo, budował jachty kosztujące po 100.000 funtów każdy, aby zdobyć dla Anglii wielki puhar. Do końca życia pozostał on prostym człowiekiem i oprócz jachtów miał tylko jedną niewinną słabość —lubił widywać osoby krwi królewskiej i kolekcjonować ich fotografie z dedykacjami. Upodobanie bardzo burżuazyjne, lecz szczerość z jaką miljarder do tej formy snobizmu się przyznawał była rozbrajająca.

* * *

Dobrym przykładem wyrafinowanego humoru i złośliwości Beverley Nichols'a jest zatytułowanie przez niego rozdziału w którym pisze o Kiplingu, Liptonie i Hugh Walpole: „O dwóch wielkich ludziach i jednym średnim". Średnim był oczywiście Walpole, znany pisarz, który niedawno miał nieszczęście narazić się na śmiech Somerset Maugham'a który skierował na niego ostrze swego cudownego sarkazmu w książce „Cakes and Ale". Jakże inne są te mordercze ale delikatne pchnięcia rapierów od okładania się kłonicami, które przypominają rozprawy między naszymi literatami — z PAL'u lub z po za niego...

Beverley Nichols został sekretarzem wielkiej śpiewaczki Melby i oczarowany jej talentem jeździł z nią przez szereg miesięcy po całym świecie. Australia, gdzie w odludnej pustyni Melba śpiewała dla siebie tylko „tak jak nigdy przed tym ani po tym", Nowa Zelandia, Ameryka Północna i Południowa. Ocean wrażeń i przeżyć, naświetlonych geniuszem wielkiej artystki.

Drugą indywidualnością, która wywarła duży wpływ na młodego Nichols'a był Seymour Hicks, niewątpliwie największy aktor angielski od czasu Henry Irvinga i legendarnego Kean'a. Przyjaźń Seymour Hicks'a skierowała Nichols'a na drogę krytyki teatralnej, przez głębokie poznanie duszy teatru od wewnątrz. Wizyta u Norman'a Lindsey'a, filozofa, który żyje w pustelni na Nowych Hebrydach, otworzyła nowe horyzonty myśli przed Nicholsem, zawsze czułym na rzeczy prawdziwe, wolne od kłamstwa i histrionizmu.

Znajomość z Williamem Somerset Maugham, człowiekiem który zarabia piórem miliony złotych rocznie, subtelnym cynikiem i wielkim artystą, mogła być bardzo pouczająca dla początkującego pisarza i zdaje się, że Nichols potrafił ją właściwie wykorzystać. Thomas Hardy, H. G. Wells, Michael Arlen, fenomen angielskiej literatury, młodzieniec z Armenii, który pierwszą swoją powieścią zdobył sobie zupełnie własne stanowisko w świecie literackim i trzysta tysięcy funtów, genialny aktor, reżyser i dramaturg Noel Coward, Arnold Bennett i wiele innych indywidualności wypełnia autobiografię Nichols'a życiem i to życiem ciekawym, bogatym. Potrafił on wymknąć się przeciętności i podpatrzyć wiele sekretów wielkości. Przedmiotem jego studium są ludzie i myśli. Ale jacy ludzie! A wszystko to jest historia człowieka dwudziestopięcioletniego. Nie wszyscy może mają takie możliwości jakie miał Beverley Nichols, ale niewielu też potrafiło by tak je zrozumieć i wyzyskać.

A. T. L.

Prawo nieograniczonego bogactwa

Żyjemy w okresie poszukiwania nowych ustrojów społecznych, nowych form politycznego rządzenia i nowych systemów gospodarczych. Faszyzm, hitleryzm, bolszewizm, planowość gospodarcza Roosewelta, protekcjonizm Wielkiej Brytanii, ekspansja gospodarcza i polityczna Japonii itd. — oto przykłady wskazujące, że ferment poszukiwania objął wszystkie niemal narody i państwa.

Liberalno - kapitalistyczne zasady, na których stabilizowane było życie społeczno - gospodarcze XIX wieku, uległy głębokim przemianom. Automatyzm gospodarczy, dogmat o samoregulowaniu się procesów gospodarczych został przekreślony. Jednocześnie z przemianami struktury gospodarczej obserwujemy ewolucję psychiki podmiotu gospodarującego. Ulega stopniowej przemianie mentalność kapitalistyczna, dla której naczelnym motywem działania był motyw maksymalnego zysku. Następuje przewartościowywanie pojęć gospodarczych. Nie są to jeszcze zmiany zasadnicze, nie mniej jednak niektóre nienaruszalne przesłanki i założenia systemu kapitalistycznego poddawane są rewizji.

Rozwój interwencjonizmu państwowego i ciągły niezaprzeczony wzrost ilości przedsiębiorstw państwowych i komunalnych coraz wyraźniej akcentują różnicę między gospodarką prywatno kapitalistyczną, opartą na motywach maksymalnych zysków, a gospodarką przedsiębiorczości publiczno - prawnej, opartej na kryteriach celowości i planowości gospodarczej, uwzględniających potrzeby i tendencje rozwojowe całokształtu organizmu gospodarczo - politycznego. Jako kryterium ogólne ingerencji władzy państwowej w stosunki gospodarcze uznano powszechnie zagrożenie dobra publicznego i konieczność jego obrony.

Polityka działania przedsiębiorstw prywatnych nastawiona jest na rentowność, dąży do osiągania jak największych zysków. Wielkie zakłady prywatne przemysłowe, bankowe i agrarne dobrze prosperują, gdy mają możność niekontrolowanej eksploatacji robotnika przez niskie płace i konsumenta przez wysokie ceny. Polityka przedsiębiorstw publiczno - prawnych przeciwnie — dąży do osiągnięcia jak największej sumy celów ogólno - gospodarczych. Tak brzmi głos zwolenników etatyzmu.

Tematem naszych rozważań jest wielka własność tworząca węzłowe ośrodki dyspozycji gospodarczej. Są to: kopalnie węgla, rudy żelaznej, nafty, cynku, huty, stalownie, elektrownie, gazownie itp. Ściśle rzecz biorąc nie da się bezwzględnie stwierdzić, że nastawienie polityki działania wielkich prywatnych przedsiębiorstw tego typu na maksymalną rentowność wyklucza możliwość uwzględniania potrzeb społecznych i ogólno - gospodarczych. W systemie liberalizmu idealnego, cena towaru jest tym

wyższa, im większą rynek odczuwa potrzebę na dany towar (prawo podaży i popytu). Kapitał angażuje się tam, gdzie są wyższe ceny i większe zyski, czyli gdzie jest większa potrzeba danego produktu, powodująca zwyżkę cen. Zdawało by się, że ma tu miejsce zjawisko samoczynnego regulowania się procesów gospodarczych. Tak jednak, być może bywało, obecnie jest to raczej teorią.

Przedsiębiorca prywatny samodzielny jest zupełnie zdezorientowany na rynku wskutek jego różnorodności, natomiast wielkie współczesne spółki w drodze wielkich powiązań kapitałowych oraz przez stworzenie sytuacji faktycznego monopolu uprawiają proceder wyzysku, rujnując, być może nieświadomie, równowagę danego organizmu gospodarczego. Egzystencja wielomilionowych mas ludności uzależniona jest od garstki magnatów finansowych, kierujących się egoistyczną zasadą maksymalnego zysku. Nad nędzą mas przechodzi się do porządku dziennego. Interesy społeczne i ogólno gospodarcze są pogrzebane. W tych warunkach ingerencja przedsiębiorczości państwowej staje się uzasadnionym środkiem zaradczym, wytwarzającym stan równowagi w systemie ekonomicznym.

Jako motywy uzasadniające konieczność zmniejszenia zasięgu przedsiębiorczości państwowej wysuwane są argumenty dwojakie: po pierwsze — poszanowanie obowiązującego prawa własności, i po drugie — mniejszą zdolność gospdarczą przedsiębiorstw publiczno-prawnych. System własności prywatnej i nieograniczonego bogactwa posiada na swoją obronę autorytet prawa, podobnie jak kiedyś system niewolnictwa, a potem system pańszczyzny. Podobnie jak kiedyś w umysłowości współczesnych prawo niewolnictwa było naturalne i nie budziło zastrzeżeń u najwybitniejszych przedstawicieli tej umysłowości, podobnie jak potem prawo pańszczyzny miało natchnionych obrońców, którzy głosili, że zniesienie pańszczyzny doprowadzi do ruiny gospodarstwa, do zniszczenia cywilizacji i upadku kultury, podobnie i obecnie prawo nieograniczonego bogactwa jest uważane niemal za jedno z praw natury. Zamiary ograniczenia przywilejów wypływających z tego prawa wydają się więc radykalnym rewolucjonizmem.

W świadomości dzisiejszej niewolnictwo i pańszczyzna budzą odrazę i powszechnie uważane są za nieetyczne społecznie. Fakty te w świadomości dzisiejszej zatraciły już na wyrazistości, stanowią jakby zamierzchły etap historii i wydają się bardzo odległe. A przecież przed 70-ma jeszcze laty w sercu Polski kwitła pańszczyzna. Tak szybką jest ewolucja pojęć społecznych i nawet moralnych.

* * *

Umysłowość współczesna nie posiada jeszcze zrozumienia szkodliwości cywilizacyjnej i społecznej systemu gospodarki prywatnej wielkokapitalistycznej. Zaledwie zaczynamy zdawać sobie sprawę pod wpływem ciężkich kryzysów ze szkodliwości tego systemu w gospodarstwie narodowym i światowym. Już dziś jest rzeczą naturalną, że koleje żelazne, elektrownie, gazownie itp. zakłady nie są własnością prywatną, lecz publiczno - prawną. Z natury tego rodzaju przedsiębiorstw wynika ich charakter użyteczności publicznej, i świadomość tego stała się już dziś powszechną. Można przypuścić, iż w niedługim czasie kopalnie węgla, ropy naftowej i cynku, huty żelazne, stalownie i tym podobne zakłady, stanowiące ośrodki dyspozycji gospodarczej państwa, staną się również własnością publiczno-prawną. Przedsiębiorstwa te z punktu widzenia formalnego są jeszcze własnością prywatną, jednakże ich właściciele są tak skrępowani w prawie swobodnej dyspozycji, iż mamy tu raczej do czynienia ze zjawiskiem *własności administracyjnej*, niż własności absolutnej.

Zniesienie prawa nieograniczonego bogactwa, wprowadzenie ustawowego maksimum posiadania i upaństwowienie zakładów wielkiej produkcji — oto punkt następny przewidywanej ewolucji gospodarczej świata. Przy systemie niewolnictwa, kiedy człowiek był przedmiotem i własnością innego człowieka, następnie w okresie pańszczyzny, kiedy praca poddanego była własnością obszarnika, uzasadniano niemożliwość prawną zmiany istniejących stosunków przez odwieczny rzeczy porządek, zabezpieczając go ustawami i kwalifikując wszelkie usiłowania zmiany panującego stanu rzeczy jako przestępstwa karne. W drodze stopniowych przemian struktury gospodarczej społeczeństwa współczesne utrwaliły obecny system prawny, kwalifikując dawny układ stosunków jako bezprawie (system niesprawiedliwości społecz. nej). Ewolucja jednak faktów normatywnych prawa publicznego i prywatnego, regulujących stosunki społeczne, postępuje nadal i nieuchronnie zbliża się czas podobnego zakwalifikowania i oceny prawa nieograniczonego bogactwa.

Tempo ewolucji gospodarstwa w powyższym kierunku hamowane jest przez niejednokrotnie nieudolne funkcjonowanie przedsiębiorczości publiczno - prawnej. Niewątpliwie skomercjalizowane przedsiębiorstwa państwowe czy komunalne winny przynosić również pewne gospodarczo usprawiedliwione zyski, a przynajmniej pracować bez strat. Biurokratyzm, który jest główną przyczyną tej nieudolności, występuje jednak nietylko wśród przedsiębiorstw państwowych. Wielkie przedsiębiorstwa prywatne również posiadają ciężki aparat administracyjny. Gdy uwzględnimy, że zakłady publiczno - prawne dążą do osiągnięcia jak największej sumy celów społeczno - gospodarczych, trudno jest żądać wykazywania wielkich zysków buchalteryjnych. Należy mówić raczej o zyskach społeczno-państwowych. W całokształcie funkcjonowania organizmu gospodarczego, przedsiębiorstwa publiczno-prawne odgrywają rolę wybitnie dodatnią. Polityka ich posunięć gospodarczych nie jest zakłócona bezwzględnym egoizmem przedsiębiorcy i nie ma na celu osiągnięcia najlepszych wyników w drodze wyzysku konsumenta i robotnika, lecz stojąc na stanowisku obrony dobra publicznego, bierze pod uwagę przede wszystkim potrzeby całości.

Łącznie z rozwojem gospodarki państwowej, opartej na systemie długo - falowej i wszechstronnej planowości, ekonomia i statystyka stają się nieodzownymi elementami administracji publicznej. Geograficzne rozmieszczenie ośrodków produkcji (lokalizacja przemysłu), źródła surowców, kalkulacja kosztów własnych, zdolność wytwórcza zakładów, analiza rynków, zdolność konkurencyjna produkcji krajowej, możliwości i kierunki jej ekspansji na rynki zagraniczne, pojemność rynku wewnętrznego, struktura aparatu handlowego itd. — oto zagadnienia, których poznanie jest konieczne, aby móc prawidłowo administrować przedsiębiorstwami państwowymi. Idąc zaś jeszcze dalej — ażeby móc wogóle skutecznie prowadzić politykę ekonomiczną państwa.

Kazimierz Surała.

Nowa synteza dziejów Polski

(Wł. Konopczyński: Dzieje Polski Nowożytnej. Tom I 1506 — 1648. str. 437; tom II 1648 — 1795 str. 459 r. wyd. 1936.).

Nie możemy uskarżać się na brak cennych nowości w dziedzinie piśmiennictwa historycznego. Wśród ostatnich wydawnictw figurują dwutomowe „Dzieje Polski Nowożytnej“ prof. U. J. Wł. Konopczyńskiego. Pomyślane jako podręcznik uniwersytecki, jako ciąg dalszy „Dziejów Średniowiecznej Polski“ Grodeckiego, Zachorowskiego i Dąbrowskiego tym potrzebniejszy, że „Dzieje Polityczne Polski“ w wydaniu Akademii Umiejętności, doprowadzone zresztą tylko do I-go rozbioru i dawno wyczerpane — mają w swej budowie i ujęciu cechy podręcznika, ale podręcznika obejmującego sprawy ściśle polityczne.

W tytułach poszczególnych wielkich rozdziałów tkwi — na pierwszy rzut oka — pewna miła średniowieczczyzna; przypominają się bardzo dawne, dziecinne podręczniki historii Polski. Bo oto zamiast pięknego i górnego podziału na zagadnienia, opracowanie dzieli się po prostu na panowania. Widzieliśmy już ten podział w pewnej mierze u Grodeckiego i Dąbrowskiego i w wydawnictwie Akademii i właściwie nazywanie tej całkowitej prostoty staroświeczczyzną jest niesłuszne: przecież inaczej jest właśnie choćby u Bobrzyńskiego. Ale gdy zajrzymy do tytułów paragrafów sformułowanych — jak zawsze u prof. Konopczyńskiego — wymownie i lapidarnie zarazem — stwierdzić możemy piękną nowożytność w ujęciu. Kiedyś na seminarium wyjaśniał autor swym słuchaczom ważność należytego doboru i sformułowania tytułów

i trudności dobrego ujęcia w tytule treści rozdziału. Jego własne książki są dobrym przykładem na poparcie tych wskazówek. Jak w dawnym dobrym podręczniku każdy monarcha obdarzony jest oceną, każda epoka ogólnym rzutem oka, obejmującym charakterystykę ludzi i ustroju, gospodarki i kultury, a każde panowanie— zwięzłą a dokładną bibliografią. Biograficzny układ uzasadniony właściwościami naszego ustroju i dziejów nie tylko wewnętrznych — nasuwa zestawienie ze „Słownikiem Biograficznym“, którego autor jest głównym redaktorem. (Przy okazji warto zaznaczyć, że „Słownik“ ma wciąż za mało prenumeratorów nie tylko z pośród członków Izb: czyżby był uważany za lekturę zbyt uciążliwą?).

Podręcznik uniwersytecki spełnia swą rolę nie tylko w murach wyższej uczelni. Jest to także podręcznik dla ogółu inteligencji, szukającej pewnego i poważnego źródła odświeżenia lub wzbogacenia swych wiadomości, szukającej książki, w której łatwo sprawdzić fakt potrzebny. Prócz tego podręcznik taki urabia pogląd szerokiego ogółu na przeszłość, jest więc zawsze w pewnej mierze książką programową, choćby jej autor miał na widoku cele ściśle informacyjne, a może być także książką *rewizjonistyczną*.

Lecz nie każda rewizja poglądów naukowych roznamiętnia szeroką publiczność, nie każda do niej trafia. Najwięcej rewizji dokonano chyba w badaniach nad naszym średniowieczem, ale gdy ucichł spór o teorię najazdu i o św. Stanisława, wyniki badań roznamiętniają już tylko badaczy, choć nieraz mogłyby dostarczyć tematu do rozmyślań także zwyczajnemu inteligentowi polskiemu. Taka choćby monografia Papee'go o Olbrachcie jest jedną wielką rewizją utartych lub ucieranych poglądów i poglądzików. Lecz te sprawy wydają się jeszcze zbyt odległe od dzisiejszości: zainteresowanie budzą dopiero czasy nowsze. I dlatego wymienione „Dzieje Polski Średniowiecznej“ mimo swych wartości nie wywołały szerszego echa i doczekały się groszowej wyprzedaży przy likwidacji firmy wydawniczej, zanim 10 lat upłynęło od chwili ich wydania. I dlatego prawdopodobnie powszechniejsze zainteresowanie i dyskusje wzbudzi nie 1-y tom „Dziejów Polski“ Konopczyńskiego, ale drugi, ten, w którym odżywa problem przyczyn upadku Polski.

Czytając te 900 bez mała stron nasyconych treścią do ostatniej możliwości, nasuwają się wciąż porównania z bezpośrednim poprzednikiem tego dzieła — „Zarysem Dziejów Polski“ Bobrzyńskiego. Nie porównania materiału naukowego tylko. Lata, które dzielą te książki i specjalne przeznaczenie ostatniej wystarczyły, by ją napełnić materiałem o wiele od poprzedniej bogatszym. Najbardziej pociąga porównanie ocen. Wprawdzie autor zastrzega się w przedmiocie przed jakąkolwiek „prawowiernością stronniczą“ — i nie znajdziemy jej tam w istocie, ale pogląd na przeszłość wypowiedział. Bobrzyński („Rzecz o zadaniu historii“), pisze:

„Bezstronności w ścisłym tego słowa znaczeniu nie można się od historyka domagać. Bezstronnym może być tylko fakt historyczny, który dla historyka jest przedmiotem badania. Historyk zaś, chcąc ten fakt ocenić musi do tego jeszcze pewne stanowisko zająć... Stanowisko historyka może i powinno być naukowym, może być wysokim i coraz wyższym, ale zawsze musi być pewnym stanowiskiem i punktem widzenia. Jego następca, który na wyższe stanowisko się wzniesie, będzie widział szerzej, będzie oceniał bezstronniej i lepiej, ale i ten znajdzie znów kogoś, co go w tym względzie przewyższy...“ „Bezstronnością historyka, w dobrym i korzystnym tego słowa znaczeniu, nazywamy też jedynie usiłowania jego, ażeby w sądzie swoim wydobyć się z pod wszelkich obcych prawdzie historycznej i naukowemu jego przekonaniu celów“.

* * *

A jednak i 1-y tom zawiera ponęty dla czytelnika. Przede wszystkim: epoka. XVI wiek! Wiemy o niej, o całości dziejów Jagiellońskich dużo dzięki Haleckiemu i wszystkim badaczom unii polsko-litewskiej, tego tematu *de predilection* naszych historyków, który zostanie nim chyba jeszcze dopóty, dopóki ten problem owiany sentymentem i uporem, problem naszej epoki nie znajdzie wreszcie rozwiązania. Wiemy dzięki Papée'mu, od którego po Olbrachcie należy nam się jeszcze żywot Aleksandra Jagiellończyka, a dziś przede wszystkim dzięki Kolankowskiemu, którego dzieła wielkich rozmiarów, „rewizjonistyczne“ w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa, jaskrawym promieniem nowoczesnego reflektora rozświetlają nam Jagielloński horyzont od Bałtyku po Krym. Lecz te sprawy nie zafascynowały jeszcze zwyczajnego czytelnika, choć go już Matejko przygotowywał do dostrzegania niektórych Jagiellońskich problemów. Jagiełło i Witold — ich miejsce, stosunek wzajemny i rola dziejowa na grünwaldzkim obrazie; Zygmunt I i ten oślepiający blask złota i purpury bijącej z matejkowskiego „Hołdu Pruskiego“ i „Wciągania dzwonu Zygmunta“. To już chronologicznie należy do dzieła Konopczyńskiego. A Zygmunt August?

Nie tamte — powtarzamy — wielkie i szczegółowe monografie, ale właśnie takie „Dzieje Polski Nowożytnej“ urabiają poglądy co najmniej jednego pokolenia czytającego. I tu spotykamy się z oceną umiarkowaną, choć właśnie w pewnej mierze „rewizjonistyczną“, w każdym razie sprzeczna z oceną Bobrzyńskiego, którego cytować trzeba często, gdyż tamte trzy tomy wyprzedziły w czasie, jako rodzaj opracowania omawiane obecnie dzieło, a dwa tomy pierwsze wykształciły parę pokoleń.

Wspomniane umiarkowanie oceny jest nawet — wbrew Kolankowskiemu — obroną, tak jak obroną była ocena Haleckiego w Encyklopedii Akademii. Bilans panowania Zygmunta Starego zajmuje z górą stronę. Trudno cytować całość. „Pozazdrościć nam mogły inne narody takiego ojca i opiekuna...“ „Zygmunt I za późno wstąpił na tron“ ... i to jest może przyczyną wielu niedociągnięć jego rządów, ale „dla oświaty i literatury polskiej, podobnie jak dla myśli politycznej była to twórcza doba poczynania“.

Ocena Zygmunta Augusta wypadła też umiarkowaniej niż u Kolankowskiego. Z rozdziału zatytułowanego twardo i wyzywająco: „Werdykt dziejowy o dojutrku“ wychodzi ostatni Jegiellończyk nie w aureoli wprawdzie, ale i nie poniżony. Spokój, ale już inny bije też z oceny Batorego. W efektownej i rozpoetyzowanej przez literatów sprawie Zborowskiego autor wypowiada się krótko: „powaga prawa, jego litera i duch, zarówno jak racja polityczna były całkowicie po stronie dworu“.

W omówieniu dziejowej roli króla zwalcza legendy zwłaszcza tę XX-wieczną, która „czyni z Batorego pogromcę anarchii sejmowej i niedoszłego (przez śmierć przedwczesną) reformatora ustroju w duchu monarchistycznym'. Wprawdzie lepiej pracował z sejmem podczas wojny niż podczas pokoju, ale „ o żadnym antagoniźmie dwóch izb, ani o wygrywaniu przez króla jednej z nich przeciw drugiej nie będzie mowy. Bo i ze szlachtą jako całością potrafi Stefan przez szereg lat dla wspólnego dobra Rzeczypospolitej wcale harmonijnie pracować“. — Zatarg był zawsze możliwy: pamiętne słowa o królu malowanym były tego dowodem. W owej epoce zresztą „źródło konfliktu tkwiło wszędzie między ustrojem stanowym i władzą monarszą“. Lecz Batory „dał upust energii swojej i rycerstwa w niezbędnych wojnach“.

Portret Batorego nawet na tle porywającej epopei wojen moskiewskich i dramatu Zborowskich jest portretem o spokojnych liniach i barwach. Czy takim, w pewnej mierze „odbronzowionym“ pozostanie długo? Posiadamy niejedno szczegółowe opracowanie epoki, batorowe dziesięciolecie znamy wyjątkowo dobrze, brak nam jednak obszernego, monograficznego dzieła o tym panowaniu, w którym nie brakło bardzo ostrych rysów.

* * *

Szesnastemu stuleciu poświęciliśmy więcej uwagi dlatego, że jest ono nowością w dotychczasowych wydanych pracach autora, który zagłębiał się dotychczas w tajniki dyplomacji XVII i XVIII wieku i w subtelne, a zasadnicze problemy ustrojowe tychże czasów. A nie należy zapominać, że tłumaczył także Esmeina „Prawo konstytucyjne“ i że swą jasność konstrukcji, ścisłość rozumowań i określeń zawdzięczają jego prace bodajże tym prawniczym zainteresowaniom i nastawieniom.

XVII wiek i czasy Saskie w ujęciu Konopczyńskiego znamy od dawna, przede wszystkim z Encyklopedii Akademii, z której z niewielkimi zmianami i uzupełnieniami przedrukowano panowania: Jana Kazimierza, Wiśniowieckiego, Sobieskiego, Sasów, Stanisława Augusta do roku 1775. Zainteresowanie czytelnika wzmaga się dopiero od tej daty i rośnie z każdą odwracaną kartką. W tej epoce nagromadziło się tyle spraw żądających sądu. I odtąd opracowanie jest nowością całkowitą.

Od chwili wydania 2-go tomu Encyklopedii ukazała się niejedna monografia dotycząca złych czasów dawnej Polski. Ukazał się pierwszy tom „Konfederacji Barskiej“, i prace Tokarza o insurekcji, i — cytujemy tytuły pierwsze z brzegu — Morawskiego „Źródło rozbioru Polski“, tak bardzo rewizjonistyczne i pisane z pasją, wobec której niczem jest nawet pasja Olgierda Górki. Rzetelnej oceny ostatniej książki, fascynującej, ale niebezpiecznej swą jednostronną namiętnością i swymi niedomówieniami jako źródło światopoglądu historycznego, dokonał niedawno sam Konopczyński w „Kwartalniku historycznym“.

Dyskusja o przyczynach upadku Polski nie jest jeszcze zakończona. Nie jedno jeszcze będzie powiedziane o przymierzu polsko-pruskim i 3-im Maju, Targowicy i insurekcji, o charakterze i wartości ostatniego króla, choć dotychczas o tych właśnie sprawach najgoręcej dyskutowano i to nie tylko wśród fachowców...

* * *

Czytając sądy Konopczyńskiego w omawianym dziele, musimy wciąż zestawiać, porównywać je z Bobrzyńskim, ze Skałkowskim, a nawet — i oczywiście! — z Górką. Ocena Konfederacji barskiej nie uległa zmianie od pierwszego opracowania dla Akademii. Nie uczyniły w niej wyłomu krytyczne słowa Skałkowskiego, wypowiedziane na zjeździe warszawskim, ani atak Górki na ideologię mieszczan na zjeździe wileńskim w 1935 r. Sejm czteroletni

zajmuje więcej miejsca. Po krytycznym lecz spokojnym oświetleniu Bobrzyńskiego, po obrończej książce Askenazego usłyszeliśmy ostre słowa Skałkowskiego, iż „polityki przymierza pruskiego nie można obronić, skoro doprowadziła do katastrofy". Konopczyński zaś swój pogląd wyprowadza ze zbadania przyczyn faktu: przymierze „stało się z chwili zrzucenia rosyjskiej opieki koniecznością polityczną" (str. 374/II).

Bobrzyński wyliczył już kiedyś wszystkie braki i niedociągnięcia 3-o Majowej Konstytucji, lecz jej nie potępił i słowa jego nie budziły pesymizmu w czytelniku. Konopczyński pisze obszerniej, mocniej, ale nie wiele inaczej. „Nowy ustrój nadany został krajowi jak to zwykle bywa, przez świadomą celu mniejszość, z zachowaniem jednak prawa większości (stukilkudziesięciu przeciw 28), po nieskrępowanej dyskusji, ale nie bez nacisku na głosujących i zaskoczenia. „Konstytucja nie była też — zdaniem autora — okiełznaniem sejmowładztwa".

Próbą rewizji poglądów na Targowicę było wystąpienie Skałkowskiego w r. 1930 na warszawskim zjeździe historyków, gdy w przepełnionej auli Uniwersytetu zagajał dyskusję nad usiłowaniami niepodległościowymi na przełomie XVIII i XIX w. i nie tylko mówił o podobieństwach między ludźmi reform i ludźmi Targowicy. Padły wtedy słowa krańcowo rewizjonistyczne, słowa przykre dla uczuć słuchaczy:

> „Przestańmy szaty rozdzierać z powodu akcesu króla do Targowicy, a tym bardziej biadać, że Targowica była możliwa. Tylko histeryczne damy w rodzaju Izabelli Czartoryskiej mogły się oburzać i dziwić. Sejm rządzący winien był przewidzieć i wojnę z Rosją i reakcję staroszlachecką i przymierze tych czynników z natury swej przeciwnych ustrojowi pomajowemu. A kiedy przywódcy stronnictwa reform po zawodzie ze strony Prus, (co do zachowania się których tylko bardzo naiwni mogli mieć jakieś wątpliwości), uznali sprawę za przegraną, wtedy obłudą z ich strony albo czczą manifestacją dla gawiedzi ulicznej były protesty przeciw próbom przejednania carowej, chociażby przy pośrednictwie Targowiczan. Dla historii te gesty mają podobne znaczenie, co gest Piłata Ponckiego".

Bobrzyński traktował ogół Targowiczan jako ludzi zaślepionych, nie wiedzących dokąd chcą ich zaprowadzić Rosja i oligarchowie, a powodzenie Targowicy przypisywał temu, że:

> „odrodzenie nie ogarnęło jeszcze całego narodu, że Konstytucja 3-go Maja do ogółu nie umiała przemówić i w swoją grę go wciągnąć. W innych warunkach zewnętrznych byłaby się z czasem utrwaliła i wytępiła żywioły anarchii, które umiała pokonać, dopóki samym sobie były pozostawione. Gdy jednak nieprzyjaciel do tych żywiołów się odezwał, znalazł je na swe zawołanie, a konstytucja moc i urok swój utraciła".

Po tych dwóch ocenach szukamy z zainteresowaniem trzeciej, najnowszej. Ogólna ocena Targowicy nie odbiega u Konopczyńskiego od tradycyjnej i nie wiele się różni od Bobrzyńskiego. W lapidarnej charakterystyce jej autorów jest drobna nuta wspólna ze Skałkowskim, lecz nie ma wielkiego rewizjonizmu. Chęć ratowania starych form i realizowania własnych, mglistych pomysłów ustrojowych Rzewuskiego i Szczęsnego zbiegła się z intencjami Rosji. I carowa ujęła w swe ręce inicjatywę.

Znów trudno powstrzymać się od pokusy cytatu:

> „W Targowicy jak i we wszystkich polskich rokoszach odróżnić należy osobistą rolę przywódców oraz masowy ruch ogółu. Magnaci wnieśli tu: Branicki — warcholstwo i zaprzaństwo; Potocki — pychę i prywatę; Rzewuski — zgubne instynkty i przesądy polityczno-społeczne. Ale przecież obok takich Moszczeńskich i Czetwertyńskich, klientów Potoczczyzny, dały się wciągnąć do wstecznego ruchu tak szerokie koła szlachty, że robiło to wrażenie większości narodowej. Nawet złożywszy dużo na karb teroru i dziedzicznej słabości polskiego charakteru, trzeba uznać w dolnej warstwie Targowicy normalny przejaw elementu zachowawczego: wszak tu chodziło o wolność republikańską, o wiarę i o całość Ojczyzny, a metoda przebłagiwania Moskwy uległością, znana była od dawien dawna. Na tych obłędach umieli prowodyrzy zagrać".

A insurekcja kościuszkowska? Wchodzimy z nią w cały tragiczny splot zagadnienia użyteczności powstań, w konflikt pokoleń romantycznych i pozytywistycznych, rozstrzygany dziś pod kątem widzenia ostatecznego zwycięstwa obu właściwie ideologii, które w arcydziełach polskiego pozytywizmu w „Lalce" i w „Nad Niemnem" nie są ze sobą właściwie w wojnie. Celowo cytuję tu powieści. Powieść wyraża ducha pokolenia, ale także ze swej strony kształtuje jego światopogląd, w silniejszym stopniu i w szerszym zakresie niż książka naukowa. Często powieść z książki naukowej czerpie natchnienie i przejmuje „nachylenie". „Stańczycy" byli wrogami powstań. Znali z własnego doświadczenia tylko powstania przegrane, a najlepiej nasmutniejsze z nich — styczniowe, i najtragiczniejsze — 1846 roku. Lecz mimowoli tkwili w tradycji powstań. Czytamy u Bobrzyńskiego: „Jeżeli jednak Polska na rozbiór była skazana, to lepiej, że do dziejów swoich porozbiorowych przeszła z Konstytucją 3-go Maja i powstaniem Kościuszki, niż bez tych prób utworzenia rządu i — bezskutecznej wprawdzie — obrony, które wytknęły cel dalszych jej zmagań ku odzyskaniu utraconej niepodległości".

Skałkowski, który przed kilkunastu laty rozpoczął „odbronzawianie" Kościuszki, wzniecił burzę w imię krytyki naukowej i pobudził badaczy do nowych poszukiwań (w którymś Kuratorium jedna z jego prac spotkała się wtedy z zakazem umieszczenia w bibliotekach szkolnych), w cytowanym już przemówieniu, powiedział iż Kościuszko „realnie zmierzał... do tego, ab w granicach wytkniętych drugim rozbiorem utrzymać niepodległość".

Ocena Konopczyńskiego brzmi — jak rozwinięcie ostrożnych słów Bobrzyńskiego:

> „Teraz o żadnej pokojowej pracy dla Polski nie mogło być mowy, chyba dla prywatnego zysku — i dla państw zaborczych. Polska pod grozą wewnętrznego rozkładu potrzebowała drogowskazu moralnego, z którym pójdzie w przyszłość jako naród, jeśli nie jako państwo. Oczywiście nikt z bojowników nie wyrzekał się z góry rzeczywistego zwycięstwa". p

* * *

Pozostaje zagadnienie najcięższe: przyczyny upadku, czyli „przyczyna ostatecznego rozbioru", jak tytułuje Konopczyński ostatni rozdział. Dawny spór: czy tylko obcy winni, czy tylko my, czy też nasze fatalne położenie geograficzno - etnograficzne? Szukanie „winy ojców" z Bobrzyńskim — w ustroju, w charakterze, w porywach, czy też z Chołoniewskim obrona „Ducha Dziejów Polski"? Zdawałoby się, że spór ten dziś nie roznamiętnia tak, jak przed odzyskaniem niepodległości, że jest już tylko sporem wtajemniczonych fachowców, przeprowadzających analizę chemiczną przeszłości. Enfant terrible, jakim jest wśród historyków Górka, i do tej sprawy się zabrał. Piękna i mocna była dyskusja na zjeździe wileńskim, wywołana jego referatem. Górka winę znalazł „w ojcach" i tylko w nich; starał się udowodnić *junctim* między przyczyną upadku i przyczyną odrodzenia. To zresztą najsłabszy chyba punkt jeko wywodów. Ale uznając przede wszystkim winę społeczeństwa, Górka przyjmuje pogląd krakowskiej szkoły historycznej, pogląd „stańczyków" i pogląd ten nazywa optymistycznym. Winę tę jednak widzi na przestrzeni tylko ostatnich 150 lat przed rozbiorami. Wcześniejszy ustrój Rzeczypospolitej był jego zdaniem normalny.

Konopczyński odpowiedział na te tezy już w Wilnie. Teraz szukamy ech tej dyskusji. Znajdujemy syntezę. Winy zostały liczniejsze niż u Górki, bo na całej przestrzeni dziejów, a obok nich nie pominięto źródeł mocy. Anarchii szlacheckiej przeciwstawiono „anarchię dynastyczną" europejskich dworów. Zresztą tę syntezę trzeba przeczytać.

* * *

Wracamy do przedmowy. Czytamy w niej: „Książka może i *powinna wywoływać spory*". Spory będą dlatego, że wiele sądów jest bardzo umiarkowanych i dlatego, że inne są ostre. Dlatego, że autor psychicznie tkwi w atmosferze demokracji parlamentarnej, zdobyczy rewolucji francuskiej i literatury XIX wieku i dlatego, że nie chwali w czambuł przejawów złotej wolności. Dlatego, że konstrukcja pracy jest taka, a nie inna, wreszcie dla takiego czy innego wyjaśnienia danego faktu. Dyskusja ta powinna być naukowa, fachowa, ale kto wie, czy żywsza nie będzie światopoglądowa, rewizjonistyczna, jeśli kto lubi ten wyraz zapominając, że w nauce każdy krok naprzód jest zawsze rewizją dotychczasowych poglądów.

A może i to wzbudzi dyskusję, że w jednej, ale za to bardzo istotnej sprawie, jest autor zgodny ze swym oponentem — Górką, w tym mianowicie, że „czynnikiem decydującym w dziejach, istotną *causa efficiens* jest człowiek i ludzie, względnie naród polski jako taki", z dopuszczeniem czynników zewnętrznych, niezależnych od narodu. Całe ujęcie „Dziejów" jest uzasadnieniem tej tezy.

Od końca wojny jest to czwarte syntetyczne ujęcie Dziejów Polski. Jeśli jednak chodzi o poprzedników, to Bobrzyński tylko 3-i tom dał nowy, tamte zaś były reedycją. Wydawnictwo Akademii jest znów pracą zbiorową, bogatszą w szczególe, o charakterze sprawozdawczym, przy tym doprowadzoną tylko do 1-go rozbioru. „Polska jej dzieje i kultura" — to również praca zbiorowa, różnolita wewnętrznie, przy tym o innym przeznaczeniu. Dzieło Konopczyńskiego jest więc *pierwszą powojenną syntezą* trzech stuleci naszych dziejów, syntezą indywidualną, pierwszą tego rodzaju pracą po Bobrzyńskim. I to podnosi jej znaczenie. (Pytanie uboczne: dlaczego ukazało się własnym nakładem autora?)

Czy dzieło to wpłynie na kształtowanie się światopoglądu w takim stopniu, jak dzieło Bobrzyńskiego? Czy usunie tego ostatniego w cień? Dziś przedwcześnie odpowiadać na te pytania. Stwierdzić tylko można palącą potrzebę książki tego typu, a wraz z autorem, także konieczność nowego w tych rozmiarach opracowania wieku XIX, i życzyć mu tego „dodatkowego szczęścia", o którym mówi we wstępie, by ta książka zaspokoiła „choć w pew-

nej mierze potrzeby wykształconej warstwy czytelników, zwłaszcza nauczycieli, polityków, publicystów i działaczy społecznych".

Życzenie to tym jest aktualniejsze, że akurat 30 lat temu ukazała się pierwsza praca prof. Konopczyńskiego o „Sejmie Grodzieńskim 1752". „Dzieje Polski" to więc także synteza 30 lat pracy naukowej. A na zapowiadane na okładce „Konfederacje w rozwoju dziejowym" i „Pierwszy rozbiór Polski" czekamy z niecierpliwością i z gotowością przyjęcia jeszcze jednej „rewizji" w cudzysłowie.

J. Siecińska.

TEATR

NIEDOLE MELPOMENY.

Teatr jest to „pewna idea sztuki, której różnorodność rodzajów tworzy harmonijną całość", jak pisze subtelny znawca teatru Iwo Gall.

Teatr jest dziedziną, która zagarnia w swą służbę szereg różnorodnych gałęzi sztuki: poezja, malarstwo dekoracyjne, architektura, taniec, muzyka, — wszystkie one winny się uzupełniać, harmonizować i podkreślać podstawowy element teatru — grę artysty.

Wrażenie, jakie widz otrzymuje w teatrze, poświęconym prawdziwej sztuce, jest niczym nie zastąpione, gdyż ani książka, ani obraz nie dają nam tej pełni, jaką daje życie, a właśnie sztuką najbardziej do życia zbliżoną jest sztuka teatru. Wynika z tego, iż odwrotnie — na kształtowanie życia największy wpływ może wywierać teatr, urabiając charaktery i wychowując widzów pod względem etycznym i estetycznym.

Za granicą — w Niemczech, Włoszech i Rosji — państwo i społeczeństwo rozumieją i doceniają rolę teatru w życiu zbiorowym. Ani rozwój kinematografii, ani zagadnienia sportu nie są tam w stanie zagłuszyć spraw teatralnych. U nas niestety więcej rozentuzjazmowanych widzów spotkać można na matchu bokserskim, rozgrywce footbalowej, czy nawet w Warszawskim ZOO przed Tuzinką-Syrenką, aniżeli na przedstawieniu teatrów społecznych, prowadzonych pod znakiem tak dobrze znanych liter: „T.K.K.T."

Gdyby się chciało w najkrótszym zdaniu scharakteryzować dotychczasową działalność Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej, należało by wzorem Norwida powiedzieć: „Laurowo i ciemno". Ciemno jest bowiem naprawdę w naszych dżunglach teatralnych, gdzie nikt nie myśli o wycinaniu ścieżek, gdzie chronicznie brak jest idei przewodniej, ciągłości pracy i ustalonego planu. Od wypadku do wypadeczku — oto kierunek dotychczasowej polityki dyktatorów teatru w stolicy.

* * *

Z teatrami stołecznymi jest więc źle. Jednakże — kto wie? — czy nie jest już bliska chwila dawno oczekiwanej reakcji. Na dłuższą bowiem metę stan taki trwać nie może. Prawdziwa sztuka i rzetelne, niefałszowane życie, prostota i prawda — istniejące mimo wszystko na tym świecie — domagają się swojego wyrazu w teatrze polskim, wołając o czarodziejów-artystów i ludzi „czystej serca woli", zdolnych odrodzić narodową sztukę teatralną. Jak słusznie mówi poeta:

„Na frontonach teatru afisze jaskrawe
Owinęły czerwoną reklamą Warszawę......

— — — — — — — — — — — — — —

O czemże wielki afisz głosi barwnym krzykiem
Jaką ideą prawdy chce z widzem się dzielić?
Z jakim widzem? z uczonym, dzieckiem, robotnikiem,
Zwykłym zjadaczem chleba? czy go przeanielić
Pragnie treścią? Pokonać zimną obojętność,
Ukazując świat ducha, jego moc i świętość?...
Jakaś farsa na scenie. Sztuka zagraniczna,
Dowcip płaski, treść żadna, morał? — nieetyczna.
Zdrady, defraudacje, kokoty, szulerzy —
Prekursorowie jutra, więzień bohaterzy.
Sport i pieniądz, muskuły i niskie użycie,
Słowo brzydkie, wulgarny gest, spaczone życie...

— — — — — — — — — — — — —

Czyżby zabrakło dla nas własnych piękna wzorów,
Poezji obudzonej tęczami kolorów,
Heroizmu Wyspiańskich, polskości Norwidów,
Arcydzieł sztuki obcej — Niezłomnych i Cydów?..."

Wydaje się, że raz wreszcie publiczność, aktorzy i kierownicy teatrów muszą zrozumieć, że teatr—ten z prawdziwego zdarzenia— nie może wyłącznie służyć rozrywce, jakkolwiek słusznie nie znosi ani morałów ani banałów. Raz wreszcie należy postawić sprawę tak mocno i wyraźnie, ażeby głos opinii nie mógł minąć bez echa.

* * *

Należy stwierdzić, iż naogół wśród widzów panuje dezorientacja pod względem zagadnień teatralnych. Na kim spoczywa odpowiedzialność za tego rodzaju stan rzeczy, i czyja wina jest największa?

Być może, pewną część winy należy przypisać samym artystom, brak im bowiem odwagi cywilnej, ażeby wypowiedzieć się otwarcie na temat linii postępowania T. K. K. T. Jest w tym oczywiście i wina publiczności, zbyt łakomej na sensacje, szmoncesy, nagie nóżki i t. p. Przede wszystkim jednak ponosi odpowiedzialność owa naczelna warszawska instytucja teatralna, prowadzona rzekomo pod znakiem „krzewienia kultury" teatru, a samo powołanie do życia której miało stanowić remedium na bolączki i niedomagania stołecznej Melpomeny.

Niestety, krzewienie kultury rozumiane tu bywa najczęściej jako wystawianie lichych sztuk w pierwszorzędnej obsadzie. Jest to jeden z najcięższych grzechów naszych „ojczymów" teatru, gdyż w ten sposób wprowadza się w błąd nieświadomego nieraz widza. Widz ten oszołomiony kosztowną wystawą, i wzruszony wspaniałą grą artystów — skłonny jest wziąć „licho za cetno" i wychwalać lada szmirę. Jaki widz — taki teatr, powie, być może, gorliwy odwokat obecnego status quo, w takim razie jednak potwierdzi tylko zarzut, iż wodzirejom teatru nie chodzi o „krzewienie kultury", lecz o schlebianie tłumom i robienie kasy.

* * *

Należy postawić wyraźnie tezę, że publiczność teatralną trzeba wychowywać. Jak zrozumiano, że szkoła nie tylko wzbogaca umysł, lecz formuje również charakter, tak trzeba uznać ,że teatr przez oderwanie człowieka od pospolitości zdolny jest odrodzić go i ukształtować na wyższą miarę duchową. Nastrój prawdy, atmosfera rzetelnej pracy i umiłowanie Sztuki nastrajać musi psychikę publiczności na coraz to wyższy kamerton doznań artystycznych, musi nauczyć odróżniać prawdziwe piękno od efektownej tandety.

Aby jednak móc wychować widzów, należy nie tylko zreformować nasze teatry, lecz również rozpocząć planową pracę nad młodocianą publicznością, organizując przedstawienia dla dzieci i młodzieży.

Nie wolno jest bowiem zapychać przedstawień dla młodzieży szkolnej sztukami, nie dostosowanymi do różnych faz rozwojowych młodzieży, jak to ma dotąd miejsce w T. K. K. T.

Nie wolno jest dopuszczać do głosu prywatnych przedsiębiorców, którzy z pedagogiką i psychologią dzieci nie wiele mają wspólnego. Nie wolno bawić dziecka wzrokowo i słuchowo,, jeśli wizualna i akustyczna strona widowiska nie jest sharmonizowana z rodzimą lub obcą twórczością o mocnym pionie artystycznym i moralnym.

Jedynym dziś w Warszawie — ba! w całej Polsce — szkolnym teatrem, zasługującym na tę nazwę, jest Szkolny Teatr Reduty, stawiający sobie za cel zaznajamianie dzieci z rodzimym folklorem, historią, a nawet tematami przyrodniczymi lub geograficznymi, drogą podawania ich w udramatyzowanej i artystycznej formie.

Prostota, umiar i harmonia cechujące te przedstawienia — oto jest najwłaściwsza droga do dusz młodzieży.

Rzetelna praca Reduty zasługuje na bliższe zainteresowanie się nią pedagogów, artystów i sfer rodzicielskich.

H. M. Porczyńska.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Królewska 49 m. 34 tel. 3-37-95. PRENUMERATA: rocznie 3 zł, półrocznie 1,50 zł.
Konto PKO. 4.425. Administracja czynna we wtorki i czwartki od godz. 17 do 18.
Wydawca i Redaktor Odpowiedzialny: **Tadeusz Skonieczny**
Salezjańska Szkoła Rzemiosł, Dział Grafiki — Warszawa, ul. Ks. Siemca 6, tel. 5-37-72.